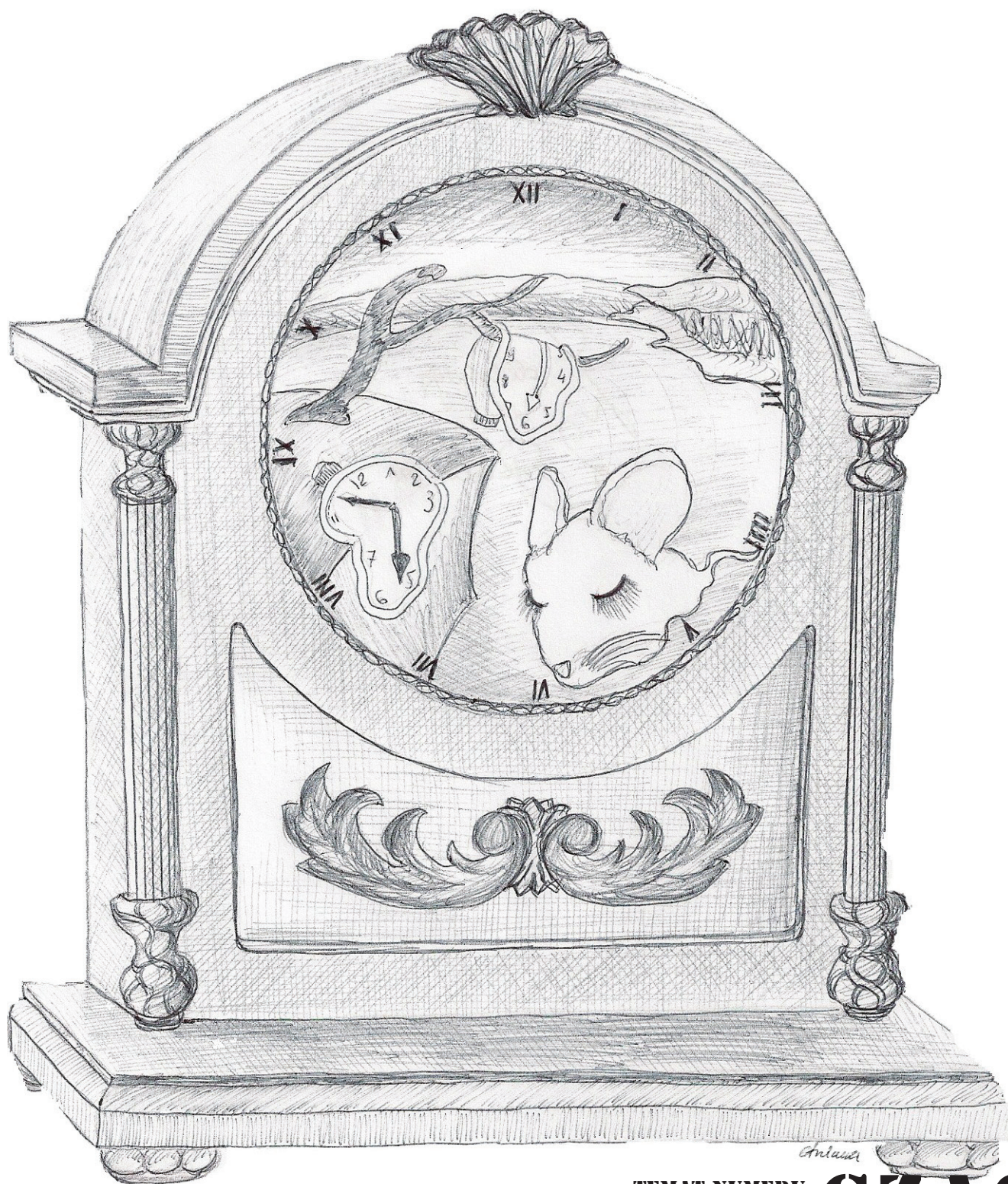


MYSZLICIEL

kwartalnik interdyscyplinarny KNS MISH

NR 1 (2)/STYCZEŃ - MARZEC 2011
EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

ISSN 2082-4408



TEMAT NUMERU:

CZAS

W n u m e r z e :

Droży Czytelnicy!

Okiem Mistrza

dr J. Iskra, Zanurzeni w czasie.....3

Mysz miejska

J. Głaz, Inicjatywy dla studenta.....6

J. Głaz, Wiatr od morza.....7

K. Malecka, Koncert Cristiny Branco.....8

J. Prochowicz, Biura tłumaczeń sztuki.....9

B. Szymkowiak, Brutal z Katowic.....10

Konferencja „Czas się tym zająć”

J. Prochowicz, Czas niestracony.....12

dr hab. P. Gutowski, Przemówienie inauguracyjne.....13

prof. M. Hanusiewicz-Lavallee, Przemówienie.....14

Przemyslenia

E. Purc, Czas w kulturze.....16

E. Drozdowska, Czas w aspekcie fizyki.....21

K. Malecka, Siła portali społecznościowych.....23

J. Głaz, Walkman i kaseta wciąż żywe.....26

A. Radziszewska, Syndrom Piotrusia Pana.....27

W. Bryda „Dom w Riverton” Kate Morton.....30

B. Szymkowiak, Zespół Me, Myself and I.....31

Wyznania starego szczura

M. Kulik, Przeszłość staje się teraźniejszością.....32

Z mysiej nory

Akademia Przyszłości. Rozmowa z Joanną Głaz.....33

Sesja na Węgrzech. Rozmowa z Zsoltem Nádayem.....35

Nam się udało. Rozmowa z absolwentkami MISH.....36



Z przyjemnością oddaję Wam w ręce drugi numer „Myszlicieła”. Powiecie może, że upłynęło sporo czasu od poprzedniego wydania, ale mam nadzieję, że efekty naszej pracy będą Wam się podobały. Udoskonaliśmy czcionki, układ artykułów, a przede wszystkim, mając na uwadze to, że jesteśmy kwartalnikiem, zwiększyliśmy liczbę stron, byście mogli czytać nas dłużej.

Wśród natłoku zajęć grupce autorów (nie tylko z MISH) udało się znaleźć nieco czasu i napisać o... czasie. Początkowo obawialiśmy się, że tekstów będzie niewiele, że będziemy musieli korzystać z referatów prelegentów Konferencji Naukowej „Czas się tym zająć”, która odbyła się 19-20 listopada 2010 r. Okazało się jednak, że obawy były niesłuszne.

Przed Wami temat czasu ujęty z różnych stron: od psychologii po sztukę, od tego, co tu i teraz, po przyszłość, a nawet przeszłość. Staraliśmy się podejść do tematu możliwie jak najbardziej interdyscyplinarnie. Chyba się udało.

Życzę przyjemnej lektury i zapraszam do współpracy.

Redaktor naczelny „Myszlicieła”,

Wojciech Bryda

Wojciech Bryda

MYSZLICIEŁ

kwartalnik interdyscyplinarny KNS MISH

adres: Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II
Al. Raławickie 14, 20-950 Lublin, pok. CN-P03



Redaktor naczelny: Wojciech Bryda (wojciech90@gmail.com)

Z-ca redaktora naczelnego: Karolina Malecka

Redakcja: Joanna Głaz, Anna Radziszewska, Bartłomiej Szymkowiak, Elżbieta Drozdowska, Marcin Józefko

Korekta: Agnieszka Pyczek, Wojciech Bryda

Ilustracje: Magda „Anlaya” Mazur

Skład i łamanie: Wojciech Bryda

Sekretarz: Anna Szymańska

Kontakt z czytelnikami: Jolanta Prochowicz

e-mail: myszKUL@gmail.com

ISSN 2082-4408

DR JUSTYNA ISKRA

ZANURZENI W CZASIE

„Kiedy mężczyzna siedzi przez godzinę z ładną dziewczyną, wydaje mu się, że była to minuta. Ale niechby posiedział przez minutę na rozgrzanym piecu, a wyda mu się to dłuższe niż jakakolwiek godzina”.

(Einstein)

Codziennosc naszego życia wciąż toczy się wokół zagadnień dotyczących czasu. „Nie mam dzisiaj czasu”. „Na wszystko brakuje mi czasu”. „Czas wziąć się do pracy”. „Czas ucieka”. „Czas to pieniądz”. „Sesja to gorący czas”. „Historycznie mamy burzliwy czas”. „Warto być na czasie”. „Marzę o tym, żeby wreszcie mieć wolny czas”. „Zdążyć na czas”. „Marnuję czas na głupoty”. „Co zrobić, żeby zatrzymać czas?”

Największy skarb

Od pierwszych chwil życia do jego ostatniego momentu jesteśmy zanurzeni w czasie, który nieubłaganie wyznacza ramy naszej egzystencji, stanowi perspektywę naszych działań, wymiar, w którym możemy wzrastać, rozwijać się, zmieniać, doskonalić, uczestniczyć w monotonicznych wydarzeniach dnia codziennego i tych fascynujących, które dają nam siły na długie miesiące zmagania zawodowych i prywatnych. Możemy też, czyniąc zły użytek z czasu, niszczyć i marnować posiadany potencjał. Doświadczać tego, co dobre, piękne, twórcze i ubogacające nasze życie lub przeżywać dni jako przynoszące nam frustracje, rozczarowania, stres, zniechęcenie, traumę, cierpienie, powolne wycofywanie się z życia, popadanie w rutynę, „zabijanie czasu”. Dzieje się tak, ponieważ nasze ludzkie życie „jest procesem przebiegającym w określonej przestrzeni i czasie. Spośród wszystkich istot żywych jedynie człowiek ma zdolność świadomego przeżywania ciągłości zdarzeń lub ich przemijania”¹. Philip Zimbardo słusznie napisał, że to właśnie czas stanowi najbardziej wartościowy element naszego majątku.² Dobra o charakterze materialnym, takie jak pieniądze, złoto, diamenty, odsetki na koncie bankowym, kolejne gadżety, buty, ubrania, samochody czy przedmioty użytku codziennego możemy uzupełnić.



<http://www.flickr.com/photos/alanclaver/2661425133>

Dotyczą one odczuwanego niedoboru, pomimo że niektórym osobom mogą kojarzyć się z nadmiarem.

Czas to pieniądz?

Inaczej wygląda sytuacja, gdy myślimy o czasie. Tutaj nie możemy zgromadzić odsetek po to, żeby wykorzystać je później, kiedy sami dojdziemy do przekonania, że nadszedł na to właściwy czas. Nie możemy odzyskać czasu zmarnowanego albo źle wykorzystanego. Nie możemy przedłużyć czasu naszego życia, kiedy przychodzi nieuchronny koniec. Nie możemy cofnąć czasu, żeby dokonać nowych wyborów, uniknąć popełnionych błędów. A jednak czas również usiłujemy sprowadzić do wartości mierzonych w sposób materialny. Cenimy swój czas jako specjaliści, oczekując za niego zapłaty, przeliczamy go na zysk każdej godziny lub udzielonej porady, porównujemy się z innymi w zakresie ceny otrzymywanej za nasze usługi świadczone w określonym przedziale czasu. W ten sposób zatracamy fundamentalną różnicę pomiędzy prawami fizyki, które jak wskazuje Philip Zimbardo, są niezmiennie, a zasadami psychologii, które są elastyczne. W konsekwencji takiego podejścia usiłujemy gospodarować czasem podobnie jak pieniędzmi, przeliczając go na materialnie wymierne zyski i poniesione straty.

1 Z. Uchnast, Kompetencje temporalne – metoda pomiaru, [w:] Roczniki Psychologiczne, 2003, nr 6, s.131.

2 P. Zimbardo, Paradoxs czasu, Warszawa 2009.

Czy można mierzyć czas?

Czas możemy odmierzać przez zegary, ustalać, biorąc pod uwagę położenie słońca, liczyć upływem dni, tygodni, miesięcy czy lat. Ale czas może być też odczuwany subiektywnie, odbierany przez naszą świadomość, pozostawać w związku z trwaniem wydarzeń lub przerw między tym, co dzieje się w życiu naszym lub osób bliskich, dotykać przemijania. Czas, który poddaje się obiektywnemu, fizycznemu pomiarowi określamy greckim słowem „chronos”, czas odczuwany subiektywnie (psychologiczny) określamy jako „tempus”.³ Oznacza on przeżywanie trwających zdarzeń, stanów oraz świadomość ich przemijania.⁴ Pomimo że przeżywanie czasu psychologicznego uwarunkowane jest biologicznie poprzez np. rytmiczny i cykliczny charakter procesów zachodzących w naszym organizmie (np. rytm snu i czuwania, dobowe zmiany temperatury ciała, cykl menstruacyjny u kobiet), należy podkreślić, że ten rodzaj czasu wiąże się przede wszystkim z egzystencjalnym wymiarem życia i funkcjonowania człowieka, który nie tylko orientuje się w czasie, ale ma świadomość jego znaczenia i przyjmuje różne postawy w stosunku do przeżywanego i doświadczanego czasu.⁵

Ja wobec czasu

Nasz indywidualny (subiektywny) stosunek do czasu wpływa na podejmowane działania, dokonywane wybory, relacje z innymi czy, mówiąc ogólnie, sposób życia. Każdego dnia możemy poznawać ludzi, słuchać ciekawych historii, dowiadywać się o nowych odkryciach

lub ich dokonywać, śmiać się, płakać, czekać, pomagać innym, przyjmować pomoc, nudzić się, pracować. Możemy biegać przez cały dzień lub leżeć, wspominać, rozpamiętywać przeszłość czy planować przyszłość. Bez względu na to, co będziemy robić, czas płynie. Dla jednych wolniej, bo są znudzeni, czekają na coś ważnego albo pogrążają się w smutku, dla innych biegnie jak szalony, bo mają jeszcze tyle do zrobienia, tak dobrze się bawią albo mają świadomość tego, że pozostało im już niewiele dni życia.

Czas jako uczestnik wydarzeń

Samuel Beckett w sztuce *Czekając na Godota*⁶ daje statyczny – na pierwszy rzut oka – obraz męczącego oczekiwania na kogoś, kto wciąż się nie pojawia. Ale oczekiwanie to tylko pozornie jest statyczne. Bez względu na to, co robią lub czego nie robią bohaterowie sztuki, jest w tym dynamika wymuszona przez czas, który nieubłaganie płynie. Czas, który, jak u Marcela Prousta⁷, stał się prawdziwym bohaterem jego dzieł i nieuniknionym uczestnikiem wszystkich zdarzeń. Mówiąc i myśląc o życiu człowieka, zawsze bierzemy pod uwagę czas, nawet wtedy, gdy nie pojawia się on wprost w naszych rozmowach. „Czas ma znaczenie, ponieważ mamy go w ograniczonej ilości, ponieważ jest medium, w obrębie którego toczy się nasze życie, oraz dlatego, że inwestowanie go w sposób nierozsądny wiąże się z kosztami utraconych możliwości”.⁸

Zawieszeni pomiędzy

Bycie człowiekiem oznacza istnienie w czasie, a więc wiąże się nie tylko z doświadczeniem przemijania, ale również ze świadomością umiejscowienia siebie w kontinuum czasowym obejmującym przeszłość, teraźniejszość, przyszłość i własne ustosunkowanie do czasu. Żyjąc tu i teraz, odnosimy się do tego, co było, minęło bezpowrotnie, przypisujemy temu określoną wartość, tęsknimy za minionym czasem lub chcemy o nim jak najszybciej i skutecznie zapomnieć. Jednocześnie pozostajemy w perspektywie doświadczanej przyszłości. Tej odległej, mierzonej w sposób fizyczny, związanej z planami, postanowieniami, ale również tej bliskiej,



3 C. Nosal, B. Bajcar, *Czas psychologiczny: wymiary, struktura, konsekwencje*, Warszawa 2004.

4 R. A. Block, *Cognitive models of psychological time*, Hillsdale 1990.

5 Z. Uchnast, op. cit., s.132.

6 S. Beckett, *Czekając na Godota*, Warszawa 1992.

7 M. Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*, Warszawa 1992.

8 P. Zimbardo, op. cit., s.19.

dotyczącej zbliżających się godzin czy subiektywnie znaczących wydarzeń.

Psychologowie zajmujący się czasem podkreślają, że dla dobrego funkcjonowania człowieka znacząca jest jego umiejętność poruszania się w perspektywie czasowej, korzystania nie tylko z tego, co oferuje nam teraźniejszość. Równie ważna jest umiejętność wyciągania wniosków z minionych doświadczeń, jak również planowania przyszłości. Błędem jest myślenie, iż musimy dokonywać wyboru pomiędzy tym, co „oferuje nam czas”, ograniczać się tylko do jednej perspektywy czasowej, odrzucając pozostałe. Niemniej jednak często mamy tendencję do skupiania się na własnej przeszłości, teraźniejszości czy przyszłości, co przekłada się na nasze codzienne działania i ich skuteczność.



<http://www.flickr.com/photos/listentothemountain/5173086732>

Patrzący wprzód

Jak podkreśla Philip Zimbardo⁹, ludzie zorientowani na przyszłość odnoszą większe i częstsze sukcesy akademickie i zawodowe, podejmują nowe wyzwania, lepiej się odżywiają, dbają o swoją kondycję fizyczną, ale prowadząc intensywne życie, wykazują mniejszą gotowość do poświęcania swojego czasu na działania altruistyczne. Charakteryzuje ich ciągły pośpiech napędzany wizją sukcesu i własnych potrzeb odnoszących się do tego, by zdobywać „więcej”, „lepiej”, „szybciej”, „wyżej”.

Tu i teraz

Osoby zorientowane na teraźniejszość mają mniejsze szanse na odniesienie sukcesu, ale chętnie pomagają innym. Często doświadczają jednak problemów z tym, żeby zadbać o siebie samych i poradzić sobie z własnymi trudnościami, co związane jest z brakiem tendencji do uczenia się na podstawie minionych doświadczeń. Można wśród nich wyróżnić hedonistów żyjących chwilą, poszukujących przyjemności i fatalistów narzekających na swój los, lecz niepróbujących w żaden sposób go zmienić.

Patrzący wprzód

Znacznie bardziej skomplikowana jest charakterystyka i sytuacja osób nastawionych na przeszłość. Dla jednych przeszłość to wspomnienia pełnego ciepła domu rodzinnego, wspólnych uroczystości, zabaw, świąt, rodzinnych rytuałów. To czas, do którego chętnie się wraca, żeby czerpać z niego to, co najlepsze lub bezpiecznie skryć się za parawanem dziecięcej sielanki przed wyzwaniem dorosłego życia. Dla innych przeszłość związana jest z negatywnymi, często bolesnymi wspomnieniami, które wzbudzają żal, gorycz, rozczarowanie, przywołują emocje towarzyszące doznanej traumie, nie pozwalają zapomnieć o porażce. Ideałem dojrzałego funkcjonowania człowieka w perspektywie czasowej jest więc takie doświadczenie teraźniejszości, w którym funkcjonuje ona jako pochodna przeszłości i wyznaczając nawet tę odległą przyszłość, daje możliwość czerpania radości, przyczynia się do skutecznego działania w naszych codziennych sytuacjach, sprawia, że odnajdujemy cel i sens naszej egzystencji oraz pozwala „być” dla innych.

Pokonać czas

Antoine de Saint-Exupéry¹⁰ przytacza w *Twierdzy* opowieść o dwóch ogrodnikach, których głęboka, pełna ciszy i zrozumienia przyjaźń została wystawiona na próbę przez dzielący ich czas i odległość. I oto znacznie postarzały ogrodnik dostał pewnego dnia list od przyjaciela. List, który przewędrował wiele lat, szukając go po morzach i lądach. List, który zawierał jedno zdanie: „Dziś rano przycinałem róże...”. Kiedy po trzech latach nadarzyła się możliwość wysłania odpowiedzi do przyjaciela przez poselstwo udające się do bardzo odległego kraju, ogrodnik całe dnie spędzał nad kartką papieru, chcąc przekazać to, co w jego życiu było najważniejsze, co wypełniało cały jego czas, co mógł powierzyć przyjacielowi. Po wielu dniach napisał: „Dziś rano ja także skończyłem przycinać róże...”.

Bo „czas jest tym, co z niego zrobisz. Ty sam możesz sprawić, że czas będzie miał znaczenie”.¹¹ A wtedy ani czas, ani przestrzeń nie są w stanie zmienić i zniszczyć tego, co pomimo różnorodności przeżyć i doświadczeń stanowi jedność z drugim człowiekiem.■

¹⁰ A. de Saint-Exupéry, *Twierdza*, Warszawa 1990, s. 477-478.

¹¹ P. Zimbardo, *ibidem*, s.262.

RUBRYKĘ PROWADZI: JOANNA GŁAZ

Studencie, rusz się!

Według jednych w pełni zasłużenie, zdaniem innych jest to niespodzianka, ale nie da się zaprzeczyć, że Lublin wszedł do finałowej rywalizacji o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2016. Efekty tego widoczne są na każdym kroku, plakaty informują nas o licznych premierach teatralnych, wystawach, festiwalach muzycznych, przeglądach filmowych itp.

Aby wesprzeć nasze miasto w staraniach o ten prestiżowy tytuł, można naturalnie samemu wymyślić jakieś przedsięwzięcie kulturalne. Jest to jednak – mimo ułatwień, jakie pojawiły się w ostatnim czasie – wciąż zadanie praco- i czasochłonne. Z pomocą tym, którym los lubelskiej kandydatury nie jest obojętny, przychodzi program Wolontariusz ESK 2016¹.

Głównym celem tego programu jest stworzenie bazy aktywnych wolontariuszy, którzy za pośrednictwem strony internetowej będą mogli na bieżąco dowiadywać się o mających nastąpić wydarzeniach kulturalnych i bez wypełniania skomplikowanych formularzy automatycznie zgłaszać się jako pomocnicy. Rozwiązanie to oszczędza wiele czasu zarówno organizatorom, jak i wolontariuszom.

Drugą częścią tego projektu jest tzw. moduł szkoleniowy, który polega na dokształcaniu



merytorycznym wolontariuszy. Dzięki licznym szkoleniom uzyskują oni wiedzę m.in. z zakresu dziedzictwa kulturowego Lublina, animacji kultury, pozyskiwania funduszy, podstaw prawnych.

Program trwa 10 miesięcy, od stycznia do października. Nawet jeśli nie zdążycie zakwalifikować się do tegorocznej edycji, warto nie zapominać o tym projekcie i zgłosić się do jednej z kolejnych edycji, które na pewno nastąpią, bo do 2016 roku jeszcze wiele zostało do zrobienia. JG■

¹ <http://www.wolontariat-esk.yoyo.pl>

Podoba Ci się nasza gazeta?

A może chciałbyś coś w niej zmienić?

MYSZLICIEL

kwartalnik interdyscyplinarny KNS MISH

Jeśli masz głowę pełną pomysłów, umiesz pisać, rysować lub czujesz, że chciałbyś zaangażować się w pracę naszej redakcji, to zgłoś się.

W celu uzyskania bliższych informacji pisz na: myszKUL@gmail.com

Być może czekamy właśnie na Ciebie!

WIATR OD MORZA

Muzyczna Scena Andersena to cykl koncertów, który już na dobre wpisał się w muzyczny kalendarz Lublina. Regularnie na deskach znanego teatru dla dzieci występują sławy polskiej muzyki alternatywnej. Każdy koncert z tego cyklu zasługiwałby na osobny artykuł, ten jednak zasłużył się bardziej...

Strzały z Biodra to nazwa trasy koncertowej, zorganizowanej przez legendarną gdańską niezależną wytwórnię płytową Biodro Records. Ku mojemu – i nie tylko mojemu – zadowoleniu okazało się, że często pomijani przy tego typu okazjach Lublinianie, tym razem „załapali się” na listę szczęśliwców mogących uczestniczyć w tym wydarzeniu.

Na początku listopada na teatralnej scenie wystąpiły trzy pochodzące z Trójmiasta zespoły: Homo Sapiens, Kobiety oraz TymonAndTransistors. Każdy z nich, choć nie funkcjonuje w masowych mediach, ma już jednak wierną grupę fanów, jak również uznanie krytyków muzycznych. Homo Sapiens, m.in. dzięki charyzmie swojego lidera, dał pokaz niesamowitej energii i zaangażowania. Muzycy, zapowiadani przez pełniącego rolę konferansjera Tymona Tymańskiego jako reprezentanci światowego poziomu, w pełni się z tej obietnicy wywiązali.

Kolejna z grup, Kobiety, to zupełnie inny nurt muzyczny, ale równie wysoki profesjonalizm. Po dawce mocnego, zaangażowanego rocka w stylu Rage Against The Machine publiczność otrzymała porcję ciepłego popu, przywołującego skojarzenia z muzyką francuską. Mimo lekkości grania, członkowie grupy nie zademonstrowali tak typowej dla muzyków popowych fuszerki, polegającej na byle jakim graniu (najczęściej z play-backu). Publiczność świetnie się bawiła przy śpiewanych absolutnie serio tekstach w stylu „Pif paf, bingo bang, jednoręki ban-dyta rozbijam bank”.

Na zakończenie tego rewelacyjnego wieczoru wystąpił zespół Tymon And Transistors, chyba najbardziej z całej trójki znany szerszej publiczności. Udało mu się to dzięki nagraniu ścieżki dźwiękowej do świetnie przyjętego filmu *Wesele*. Na koncercie zabrzmiały utwory zarówno z tamtej, jak i z drugiej płyty, wydanej w ubiegłym roku. Jak zwykle, trzeba było liczyć się ze specyficznym poczuciem humoru Tymona Tymańskiego, lidera zespołu i jednocześnie szefa wytwórni Biodro Records. Luźna

atmosfera, świetna muzyka i niepowtarzalny klimat Teatru Andersena spowodowały, że mimo dość długiego czasu trwania koncertu (ponad trzy godziny) nie dłużył się on ani przez minutę.

Dodatkowo warte podkreślenia jest to, że trasa koncertowa *Strzały z Biodra* była współfinansowana przez miasto Gdańsk, które rywalizuje z Lublinem w zmaganiach o miano Europejskiej Stolicy Kultury w 2016 roku. Z tego powodu muzycy w wielu momentach podkreślali swoje nadmorskie pochodzenie, przeplatając te uwagi opowieściami o miejscach związanych z Gdańskiem, wspomnieniami oraz refleksjami. Jest to na pewno ciekawa i nietypowa forma promocji miasta poza jego granicami, choć nie każdy gród mógłby sobie na nią pozwolić. Mimo całej mojej sympatii do Lublina, w kategorii muzyki alternatywnej Gdańsk bije nas na głowę pod względem wielkości swojej sceny muzycznej.

Ktoś może spytać, po co pisać o koncertach, które już się odbyły? Mam cichą nadzieję, że przynajmniej pięciu osobom ten opis wyda się na tyle zachęcający, by następnym razem obok mnie nie musiało pozostać pięć miejsc wolnych.

PS. W tym miejscu artykuł miał się skończyć, lecz krótko po jego napisaniu życie dopisało ciąg dalszy, o czym postanowiłam jeszcze wspomnieć. W grudniowym wywiadzie dla portalu Interia.pl Tymon Tymański nazwał trasę koncertową *Strzały z Biodra* podzwonnym dla wytwórni Biodro Records. Artysta zdecydował o zamknięciu wytwórni, m.in. z powodu niskiej frekwencji na koncertach w ramach *Strzałów...* Jak powiedział Tymański: „Gramy na przykład w Opolu i przychodzi jakieś 120 osób. Na Transistors w zeszłym roku było tyle samo. W Lublinie w zeszłym roku na moim koncercie było 220 osób, a w tym już 190. Nie wiem, co powoduje tendencję spadkową. Czy zmienia się pokolenie i odchodzi pewna publiczność? Czy promocja zawiodła? Czy po prostu ludzie nie chcą słuchać takiej muzyki? Nie wiem, ale dla mnie to jest sygnał, że trzeba się rozproszyć”. Szef Biodro Records kiedyś już taką decyzję podjął i po kilku latach od niej odstąpił, więc może to jeszcze nie ostatnie słowo gdańskiej alternatywy. JG■



Tymon Tymański, fot. Michał Jaskolski

KAROLINA MALECKA

CZAS NA FADO!

Kiedy dowiedziałam się, że będę miała możliwość pójścia na koncert Cristiny Branco „Czas na FADO”, moją pierwszą myślą było pytanie: „Czym jest fado?”. Gdy zaczęłam szukać na ten temat informacji, stwierdziłam, że chyba jestem ignorantką.

O kazało się, że fado jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych elementów kultury portugalskiej. Ten gatunek muzyki jest często nazywany portugalskim bluesem lub portugalską poezją śpiewaną, a jego nazwa oznacza *przeznaczenie, los*. Do grupy tej zalicza się melancholijne pieśni wykonywane przez jednego wykonawcę przy akompaniamencie dwóch gitar. Wyróżnić można dwa podstawowe sposoby realizowania tej muzyki: z Lizbony – śpiewane zarówno przez mężczyzn, jak i kobiety, i z Coimbrы – śpiewane wyłącznie przez mężczyzn. Niektórzy mówią, że sposób śpiewania tych piosenek odzwierciedla ducha Portugalczyków, ich wiarę w przeznaczenie, przed którym nie ma ucieczki.

Słuchając Cristiny Branco, ma się wrażenie, że fado to całe jej życie. Piosenkarka urodziła się w 1972 roku. Początkowo pozostawała w kręgu bluesa i jazzu, ale pod wpływem fascynacji Amalią Rodrigues, najsłynniejszą wykonawczynią portugalskiej piosenki poetyckiej, sama zaczęła grać tę muzykę od początku lat 90. Cristina od lat koncertuje na całym świecie. Jej wykonania są uważane przez krytyków i koneserów za klasyczną realizację tego gatunku, a teksty pochodzą zazwyczaj z poezji portugalskiej.

Koncert, który odbył się w Filharmonii Lubelskiej 4 listopada 2010 roku, był jednym z elementów trasy koncertowej promującej najnowszą, dziesiątą płytę pt. *Kronos*, która już tytułem nawiązuje do hasła: czas. Niemal wszystkie utwory na płycie krążą wokół tego tematu. Cristina snuje refleksje o teraźniejszości, przeszłości i przyszłości. W czasie swojego występu potrafiła ona wytworzyć niesamowity klimat, śpiewając zarazem lekko, delikatnie, ale i ekspresyjnie, emocjonalnie. W jej głosie można było wyczuć nie tylko typowe dla

fado nostalgię i melancholię, lecz także swego rodzaju zabawę muzyką. Wytworzonej atmosferze poddała się cała widownia – wypełniona po brzegi zarówno przez osoby starsze, rodziców z dziećmi, jak i wielu licealistów i studentów. Język, w jakim wykonywane były utwory, nikomu nie przeszkadzał w odbiorze. Cristina potrafiła utrzymać kontakt z publicznością, ponieważ każdy z kilkunastu utworów poprzedzała kilkudziesięciu komentarzem po angielsku.

Mówiła często o historii związanej z powstaniem piosenki, o czym ona będzie i jakie ma dla niej emocjonalne znaczenie, czasem żartowała. Dzięki temu słuchacz wiedział, że utwory są nie tylko o losie i przeznaczeniu, ale także o miłości, o Portugalii, o tęsknocie za domem rodzinnym. „Fado jest tragedią, ale może też być szczęściem” – mówiła Cristina.

Cristinie podczas koncertu towarzyszyło kilku muzyków. Gitarzyści i pianista nadawali utworom głębokiego, zbliżonego do jazzu brzmienia. Ale koncert nie byłby taki sam bez akompaniamentu czwartego muzyka, który grał na gitarze portugalskiej. To właśnie przejmujące dźwięki 12-strunowej gitary portugalskiej (*viola de fado*), są moim zdaniem, „perełką” tego typu muzyki. To one wprowadzają w nostalgiczny, melancholijny, a czasem romantyczny nastrój. Przenoszą słuchacza do innej rzeczywistości: marzeń, wspomnień, tęsknot, myśli o tym, co niedostępne, owiane tajemnicą.

W takim właśnie magicznym klimacie minęło ponad półtorej godziny. Cristina została nagrodzona owacjami na stojąco. Po koncercie można było zamienić z nią i towarzyszącymi jej muzykami kilka słów oraz dostać autograf. Mam nadzieję, że Portugalka ta zawita jeszcze do Lublina, bo na jej koncert warto się wybrać. ■



JOLANTA PROCHOWICZ

O KILKU PROBLEMACH ODBIORCY SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ

**„Dziś nie szuka nikt Piękna... żaden poeta -
Żaden sztukmistrz - amator - żadna kobieta -
- Dziś szuka się tego, co jest powabne,
I tego - co jest uderzające!...”
Cyprian Norwid, *Piękno Czasu***

Im dłużej je oglądasz, tym lepiej go nie rozumiesz – tak współczesny artysta, Jarosław Kozłowski, charakteryzuje współczesne dzieło sztuki. Za trafnością tego sformułowania przemawiają powstające Biura Tłumaczeń Sztuki. Przeciętnego Kowalskiego, który w przypływie wolnego czasu i intelektualnych ambicji postanowił (nie wiedząc jeszcze, że na własną zgubę!) udać się do muzeum, nęca one obietnicą zrozumienia tego, co szumnie nazywamy współczesnym dziełem artystycznym.

Co ukrywa się pod tym enigmatycznym hasłem? Tekturowe pudełka, plastikowe rury, pisuary, słowem: wszystko, co artysta zechce w przypływie fantazji i poczucia humoru nazwać Sztuką. A w opinii francuskiego malarza Marcela Duchampa w życiu sztuką staje się wszystko, co nazwie tak artysta. Według Arthura Danto, współczesnego postanalizyckiego filozofa sztuki, by mogło zaistnieć dzieło artystyczne, musi pojawić się hipoteza interpretacyjna, dzieło musi odnosić się do czegoś poza samym sobą. Jednocześnie Danto stwierdza, że warunkiem odczytania hipotezy jest znajomość teorii sztuki, która podnosi zwykły karton (dzieło Warhola *Karton Brillo* z 1964 r.) do świata sztuki i utrzymuje go w tym stanie, nie pozwalając na upadek do świata zwyczajnych przedmiotów.¹ Tak więc Kowalski sam jest bez szans. Na szczęście z pomocą przychodzi Biuro Tłumaczeń Sztuki, które teorię zna i zinterpretować potrafi. Przykład: plastikowa rura zgięta w kształt koła, projekt Moniki Sosnowskiej. Oto interpretacja Biura Tłumaczeń (<http://biurotlumaczen.art.pl/>): *Choć skondensowane, to dość wyraźne emocje wywołuje u mnie ten niewielki obiekt. Podobnie jak w treści zamówienia – pomocy! – krzyczy kawałek plastikowej rury połączony ze sobą, może zwyczajną skłonnością do wkładania*

jednego końca w drugi i tylko naukowo potwierdzoną potrzebą gatunku ludzkiego tworzenia skończonych historii i zamkniętych obiegów. Może jest zupełnie inaczej – równie prawdopodobny jest scenariusz bardziej symboliczny niż behawioralny i mamy przed sobą kolejną odsłonę prastarego symbolu Uroboros węża zjadającego własny ogon. No i jak bardzo potrzebne nam są narracje w sztuce? I już po zagadce. Mamy wizję artysty, mamy hipotezę interpretacyjną, mamy dzieło sztuki!

Biednemu odbiorcy sztuki może się jeszcze kołatać po głowie zupełnie anarchiczne pytanie o piękno. Zupełnie niesłusznie. Zdaniem Arthura Danto kategoria piękna bezpowrotnie odeszła w zapomnienie i żaden artysta współcześnie nie stawia sobie za cel jego ujęcia i przedstawienia. Jaki jest zatem cel współczesnego dzieła sztuki? Ma ono niepokoić, zaskakiwać, szokować, stając się elementem współczesnej komunikacji, a nie indywidualnej kontemplacji.²

Starożytni Grecy, wypracowując pojęcie piękna, rozumieli przez nie to, co jest godne uznania i wyboru. Piękno nieodłącznie związane z dobrem stanowiło najwyższy ideał moralny.

Cóż, można stwierdzić, że sztuka zmieniła paradygmat, że przez wieki dokonał się w niej szereg rewolucji. Po rewolucjach zostało trochę plastiku, Biuro Tłumaczeń, no i nasz zagubiony Odbiorca. I on przez sztukę współczesną może być niepokojony, zaskakiwany, szokowany, może nawet zostać zaatakowany komunikatem. A że nie ma co kontemplować? Odbiorca nie powinien mieć takich oczekiwań. A jeżeli już nieszczęśliwie takowe posiada, może jeszcze buńczucznie krzyknąć: *Jak to mnie zachwyca, kiedy mnie nie zachwyca!* I dobrowolnie skazać się na ignorancję względem wielu Działa Sztuki Współczesnej.■

1 Por. Arthur Danto, *Świat sztuki. Pisma z filozofii sztuki*, Kraków 2006.

2 Por. Arthur Danto, *dz. cyt.*

BARTŁOMIEJ SZYMKOWIAK

CZAS BRUTALI MINĄŁ

Był brud i szarość betonu. Później właściciel postanowił znaleźć inwestora i odnowić miejsce. Drastycznie. Poprzez wyburzenie. Więc zerwał się głos oburzonych. Były wiece, artykuły w gazetach, listy do architektonicznych autorytetów, debaty. Na próżno. Z hali katowickiego dworca pozostał gruz.

Dworzec PKP w Katowicach. Wybudowany w latach 1966-1972 na miejscu kwartału kamienic. Jego konstrukcja złożona z 16 niezależnych od siebie kielichów z widocznymi odciskami szalunków była jedną z niewielu opartych na tej technologii konstrukcji na świecie. Hala główna dworca składała się z dwóch poziomów, na których znajdowały się kasy biletowe, poczekalnia, sklepy, restauracja etc. Pomiędzy tymi poziomami znajdowała się strefa łącząca trzy tunele prowadzące na perony. Zaprojektowany został przez tzw. „Warszawskie Tygrysy” (Wacława Kłyszewskiego, Jerzego Mokrzyńskiego, Eugeniusza Wierzbickiego) w modnym wówczas stylu brutalistycznym. Od czasu, gdy prywatny inwestor wspólnie z PKP postanowił dworzec wyburzyć, toczyła się batalia o jego zachowanie (choć inwestor przekonuje, że kielichy odbuduje). Na portalu społecznościowym Facebook własne strony utworzyli zarówno przeciwnicy, jak i zwolennicy rozbiórki. W dniu 11 stycznia 2011 roku padł ostatni kielich hali głównej dworca. Czas Brutala z Kato, jak nazwali go obrońcy, dobiegł końca.

Bo nie był na czasie?

Większość ludzi będąca za wyburzeniem Brutala z Kato twierdzi, że „jest brudny i śmierdzi moczem”. Gdy to słyszę, zawsze się zastanawiam, czy jeśli ktoś ma bałagan w pokoju albo przeprowadza się do zaniedbanego (nie zrujnowanego) mieszkania/domu to też przystępuje do rozbiórki i budowania wszystkiego od nowa, czy może bierze szmatę oraz detergenty w rękę i próbuje doprowadzić wszystko do porządku? Bo idąc takim tokiem, myślenia należałoby wyburzać całe dzielnice, w których nierzadko unosi się zapach przypominający ten z latryn. Jeśli nie będzie się dbać o dworzec, to nieważne, jaki będzie nowoczesny, funkcjonalny, piękny, bo i tak za chwilę będzie wyglądać jak Brutal

sprzed rozbiórki, a wtedy (rozumując nadal w ten sam sposób) co kilka lat trzeba będzie budować nowy dworzec od podstaw.

Czas nowej architektury?

O gustach się nie dyskutuje, więc argumenty typu „Kielichy są brzydkie/piękne” nie mogą być przedmiotem merytorycznej dyskusji. Jednak żeby odpowiedzieć sobie na pytanie, czy Brutal z Kato powinien być dalej żyć, trzeba sobie odpowiedzieć na bardziej fundamentalne pytania: Jak powinna wyglądać i funkcjonować tkanka miejska? Jaką funkcję powinna pełnić architektura? Dlaczego niektóre obiekty są perłą architektury, a inne nie?

Nie zostawia się średniowiecznych układów urbanistycznych czy budynków sprzed kilkuset lat bez powodu. Dlaczego by nie wyburzyć i ich, aby postawić na przejezdne, szerokie arterie komunikacyjne czy budynki ze szkła i stali spełniające wszystkie możliwe normy? Przecież dzięki temu ludziom żyłoby się wygodniej. Problem pojawi się w momencie, kiedy przejezdne teraz arterie okażą się nieprzejezdne, a nowoczesne budynki ze szkła i stali przestaną odpowiadać normom. Wróć! Jest przecież banalnie proste rozwiązanie: wyburzyć – zaprojektować od nowa – wybudować – odczekać – wyburzyć... i tak dalej. A jednak możemy podziwiać



Kielichy nieistniejącego już dworca w Katowicach

starówki (np. krakowską czy wrocławską) miast o średniowiecznym rodowodzie. Bo to jest ślad. Ślad po tych, którzy byli tu przed nami i chcieli nam coś po sobie pozostawić. Coś najlepszego, co mogli z siebie dać, a czasem i więcej. Gdybyśmy ich dzieła zaczęli wyburzać, zachowalibyśmy się jak ignoranci. Dlaczego mielibyśmy to robić? Przecież to z tym miejscem się identyfikujemy, ono przypomina nam, że nie jesteśmy na świecie sami, że i my kiedyś z niego odejdziemy. Co wtedy po nas pozostanie? Czy ktoś uszanuje nasze dobre chęci, nasze postrzeganie świata, nasze możliwości, nasze spojrzenie na rzeczywistość? Jeśli jest unikalne, to dlaczego nie?

Brutal z Kato w czasie i przestrzeni Katowic

Katowice zawsze pretendowały do miana miasta nowoczesnego, czy to przed wojną, czy po wojnie. Nowoczesnego, czyli takiego, w którym rację bytu mają przede wszystkim obiekty o architekturze nietuzinkowej, nowoczesnej, jedynej w swoim rodzaju. Aby zatem taki status otrzymać, wyburzano „standardowych przedstawicieli” poprzedniej epoki, aby zrobić miejsce dla postępu architektonicznego. Tak było nie tylko z dworcem, ale też z rejonem Rynek-Rondo czy okolicami Sejmu Śląskiego i innych modernistycznych perełek, których pełno w stolicy województwa śląskiego. Brutal powstał na miejscu takich „przeciętniaków”. Sam natomiast był unikalny. Był przedstawicielem nurtu, który nie zawojuował świata.

Padają zapewnienia, że kielichy zostaną odbudowane. Nie wchodząc teraz w dyskusję, na ile jest to możliwe, zastanówmy się, czy będzie to wtedy ten sam dworzec? Tu trzeba zahaczyć o odwieczny dylemat konserwatorów: na ile odtwarzane dzieło jest jeszcze tym samym dziełem i jak daleko można ingerować w nie podczas konserwacji/renowacji. Dlaczego Brutal z Kato przed rozbiórką był prawdziwy, a ten po ewentualnej odbudowie będzie już tylko podróbką, nieważne jak pieczołowicie odwzorowaną? Bo właśnie unikalnym czynił go czas, w którym zastosowano z powodzeniem taką technikę, że budowa wtedy wyglądała zupełnie inaczej niż odbudowa teraz. Był niejako pomnikiem człowieka dążącego do ciągłego doskonalenia siebie i otaczającej go rzeczywistości, jego eksperymentów z konstrukcją, materiałem, wytrzymałością. I tak samo jak niewiele wartą

kopią byłoby wybudowanie od podstaw piramid w Gizie, wieży Eiffla, Koloseum czy innych cudów architektury, tak samo kopią będą odtworzone kielichy.

Dworzec jest miejscem, przez które przetacza się mnóstwo ludzi każdego dnia. Musi być zatem funkcjonalny. Człowiek musi mieć możliwość załatwienia w jego obrębie swoich potrzeb fizjologicznych w godnych warunkach, możliwość zjedzenia czegoś w przerwie podróży bez przepychania się między innymi ludźmi, możliwość wygodnego oczekiwania na pociąg. Co do tego nie ma wątpliwości.

Pierwotny układ przestrzeni katowickiego dworca wszystkie te opcje w sobie zawierał. Niestety został on przez właściciela zachwiany i zmieniony w taki sposób, że pod koniec przemyślaną aranżację przestrzeni zastąpiły poupychane budki z bananami, kebabami, tanimi książkami. I nie można by mieć pretensji, gdyby modernizacja Brutala miała polegać na rearanżacji wnętrza, zmianie ilości, wielkości i funkcji przeznaczenia powierzchni, nawet jeśli miałyby się to wiązać z zakryciem kielichów. To, co najcenniejsze w Brutalu – konstrukcja kielichowa – zostałaby nienaruszona.

To był czas...

Sporo osób ma własne wspomnienia związane z tym dworcem (w ciągu roku przewijało się przez niego prawie 13 milionów ludzi). Ja, jako pochodzący z Górnego Śląska, miałem z nim do czynienia bardzo często. Pamiętam, że przebywając na nim, czułem się jak w innym świecie, trochę surrealistycznym. Nie był to świat lukrowany, ale brutalny, szary, szorstki. Taki, jakie jest życie. Jednocześnie rozbudzał moją wyobraźnię, wyolbrzymiał lęki, ale i napawał dumą, gdy je przezwyciężałem. Można się było poczuć niczym Harry Potter odjeżdżający do Hogwartu z Peronu 9 i $\frac{3}{4}$, choć szukało się raptem pociągu do Gliwic odjeżdżającego z peronu 5, który nigdy nie istniał (został otwarty dopiero 14 lutego 2011, a na rozkładach pojawił się wcześniej). Albo jak w powieści science fiction, gdzie jest mowa o zaginaniu czasoprzestrzeni, gdy odjazd przewidziany był na godzinę 15:96. Ten czas już nie wróci. Wchodząc do rozbuchanej feerii barw galerii handlowej/dworca, takich uczuć nie doznam. Przypuszczam, że nie doznam żadnych uczuć. ■

JOLANTA PROCHOWICZ

CZAS NIESTRACONY

Pomysł zorganizowania konferencji z okazji jubileuszu Kolegium MISH narodził się w naszych głowach w zeszłym roku akademickim. Chcieliśmy zaznaczyć naszą obecność w przestrzeni uniwersytetu oraz stworzyć okazję do wymiany zainteresowań.

Było to duże wyzwanie. Studiujemy na różnych kierunkach i długo szukaliśmy tematu, który mógłby stać się hasłem wywoławczym do rozmów o naszych pasjach. Po wielu burzliwych dyskusjach ustaliliśmy, że będzie to czas. Postanowiliśmy więc się nim zająć. Interdyscyplinarnie. Wtedy jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak bardzo interdyscyplinarnie.

Gdy zaczęły napływać abstrakty (oczywiście w ostatniej chwili, bo takim trybem zwykli pracować MISH-owcy), byliśmy oszołomieni. Okazało się, że tematyka czasu jest niebywale inspirująca i można o niej pisać w naprawdę różnych ujęciach. Propozycje referatów zadziwiały różnorodnością: Eliot, Einstein, Filon z Aleksandrii, eksperyment więzienny, Kafka, przedawnienie... Można było przebierać, wybierać, próbować składać w spójną całość, rozdzielać, dyskutować. O to nam właśnie chodziło!

Realizacja pomysłu organizacji konferencji wniosła twórczy ferment w życie Koła Naukowego Studentów MISH. Było wiele emocji, mnóstwo abstrakcyjnego humoru, dużo pracy na wielu polach: poczynawszy od spraw logistycznych, przez organizację barku (to udało nam się perfekcyjnie! ☺), skończywszy na przygotowaniu wystąpień i prowadzeniu dyskusji. Daliśmy się wciągnąć w wir wspólnej pracy i dało nam to sporo radości i satysfakcji.

Drugi dzień konferencji był okazją do spotkań. Odwiedzili nas absolwenci, ludzie, którzy z MISH-em byli związani od początku, goście z innych uniwersytetów.



Posypały się wspomnienia i anegdoty. Było miło, trochę poważnie i jubileuszowo, trochę zabawnie, a trochę sentymentalnie.

Konferencja z okazji dziesięciolecia MISH była wydarzeniem, które pozwoliło nam sprawdzić się w roli organizatorów, zaprezentować wyniki własnych prac badawczych, odrobinę ekliwie powspominać, popatrzeć i zupełnie poważnie, i z lekkim przymrużeniem oka na ten poważny już przecież jubileusz, jakim jest dziesięciolecie istnienia MISH na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Czas poświęcony przygotowaniom tego wydarzenia z pewnością nie był stracony.■

DR HAB. PIOTR GUTOWSKI, PROF. KUL

PRZEMÓWIENIE INAUGURACYJNE

Według jednej z filozoficznych koncepcji, czas jest miarą zmian i nie byłoby go, gdyby – jak w bajce o Śpiącej Królowej – wszystko stanęło w bezruchu. Taki stan nie jest dla nas pociągający, choć przecież zatrzymałyby się wówczas wszelkie procesy zmierzające do naszej nieuchronnej śmierci i moglibyśmy trwać wiecznie. Gdyby na tym polegać miała wieczność, wolelibyśmy z niej zrezygnować na korzyść pulsującego życia, które niesie ze sobą niebezpieczeństwa i nieuchronną śmierć, ale stawia też przed nami możliwości i szanse. W tym właśnie sensie jesteśmy bytami czasowymi, że nie umiemy wyobrazić sobie siebie inaczej jak tylko w czasie i podlegających zmianie. Powtarzamy za teologami, że Bóg jako doskonały jest pozaczasowy i niezmienny, ale za tą formułą nie idzie nasze przekonanie, że stan taki jest w ogóle godny pożądanego. To także świadczy o tym, że nie jesteśmy po prostu „zanurzeni” w czasie tak, że można by nas z niego wyjąć jak ryby z wody, ale że czasowość należy do struktury naszego bytu.

Z wyobrażeniową nieatrakcyjnością stanu pozaczasowości konkuruje jednak inna myśl: że niekiedy bieg czasu warto zatrzymać lub spowolnić, aby spojrzeć na to, co się zdarzyło i pomyśleć o tym, co zdarzyć się może, a także poddać refleksji samo



Foto: Roman Czyrka
Konferencję otworzył Dyrektor Kolegium MISH,
prof. Piotr Gutowski (na zdj.)

zagadnienie czasu. Konferencja zorganizowana przez studentów MISH KUL była zaproszeniem do takiej właśnie refleksji. Wiązała się też ona z radosną dla nas rocznicą dziesięciolecia istnienia naszego Kolegium. Trudno wyobrazić sobie lepszy sposób uczczenia tej rocznicy niż sesja zorganizowana od początku do końca przez studentów, w której nie są oni jedynie słuchaczami, ale aktywnymi uczestnikami, autorami większości referatów. Twórcom Kolegium MISH w naszej uczelni,

wśród których pierwszorzędą rolę odegrała prof. Mirosława Hanusiewicz, chodziło właśnie o wyzwolenie takiej mądrej aktywności studentów oraz o wytworzenie wspólnoty uczonych i uczących się, którzy razem zmierzają do poznania prawdy. Zamyśl ten nie jest nowy ani oryginalny. Jest to po prostu cel istnienia uniwersytetu. ■



Foto: Roman Czyrka

Uczestnicy Konferencji, w centrum Prezes KNS MISH Jolanta Prochowicz

PROF. MIROSŁAWA HANUSIEWICZ-LAVALLEE

PRZEMÓWIENIE ZAŁOŻYCIELKI MISH KUL

Czcigodni goście dzisiejszej jubileuszowej uroczystości, drodzy przyjaciele, drodzy absolwenci i studenci Kolegium MISH, spoglądam na kalendarz i uświadamiam sobie, że to już naprawdę 10 lat. 1 grudnia 2000 roku JM Rektor i Senat Akademicki KUL powołali do istnienia Kolegium MISH, powierzając mi zarazem zadanie zorganizowania jego struktur i opracowanie zasad funkcjonowania. Pamiętam, że był piątek, dzień raczej szary, jak to na początku grudnia. Kolegia MISH funkcjonowały już wówczas od kilku lat w Uniwersytecie Warszawskim, Śląskim, Mikołaja Kopernika w Toruniu. Równocześnie z naszym powstało też Kolegium MISH w Uniwersytecie Jagiellońskim. Gdyby nie prof. Jerzy Axer, twórca i dyrektor pierwszego, warszawskiego MISH-u, który miałam wówczas okazję poznać podczas pierwszych miesięcy pracy w Radzie Programowej Akademii Artes Liberales, pewnie nigdy bym się nie dała namówić na tę niezwykłą przygodę, której oddałam później sześć lat życia. Prof. Axer jednak, *vir bonus, dicendi peritus*, ma niezwykły dar przekonywania...

Taki dar ma również Ksiądz Rektor Andrzej Szostek, który dziesięć lat temu uczynił mnie dyrektorem Kolegium MISH, będącego wszakże w owym momencie bytem intencjonalnym. Gdyby nie wsparcie Księdza Rektora – stałe i niezawodne, gdyby nie szczególna pomoc ze strony ówczesnego prorektora ds. studentów, a dzisiejszego JM Księdza Rektora Wilka, MISH na pewno by nie powstał i nie przetrwał, a w każdym razie skonkretyzowałby się w znacznie mizerniejszej postaci, niż to się ostatecznie stało. Interdyscyplinarne indywidualne studia humanistyczne są tworem zdecydowanie przeciwnym rutynie biurokracji, trzeba zatem odwagi i wyobraźni, by dać im miejsce na uniwersytecie, by za ich pomocą przywołać i podtrzymać najbardziej klasyczny wzór kształcenia, rozumianego przede wszystkim jako kształtowanie we wrażliwej, stałej relacji między mistrzem a uczniem. Za tę odwagę i wyobraźnię, ale przede wszystkim za serdeczną przyjaźń dla MISH-u chciałam bardzo serdecznie podziękować Księdzu Rektorowi Andrzejowi Szostkowi i Księdzu Rektorowi Stanisławowi Wilkowi, ale także wszystkim innym przedstawicielom władz uniwersyteckich w minionym dziesięcioleciu,



Choć Pani Profesor nie mogła być z nami osobiście, drugiego dnia Konferencji usłyszeliśmy jej głos dzięki nagraniu

prorektorom, szczególnie panu rektorowi Józefowi Fertowi, dziekanom, prodziekanom, których niezawodna życzliwość pozwoliła i wciąż pozwala MISH-owi istnieć i nieustannie się rozwijać.

Już w tych pierwszych miesiącach istnienia KUL-owskiego Kolegium MISH wśród jego współpracowników byli: pan prof. Piotr Gutowski, wówczas jeszcze doktor i członek Rady Naukowej MISH, a dziś dyrektor Kolegium, i pani prof. Agnieszka Dziuba, wtedy również doktor i jeden z pierwszych (a zarazem najlepszych) tutorów, dziś wicedyrektor MISH. Bez ich przyjaźni, wsparcia, ale też kompetencji i inwencji już wtedy, na początku nic nie byłoby możliwe. A coś dopiero dzisiaj! Agnieszko, Piotrze, z całego serca gorąco Wam dziękuję.

Kolegium MISH nie zaczęłoby funkcjonować, gdyby nie podjęła w nim pracy w roku 2001 pani magister Maria Filipiak. Pani magister przeszła już na emeryturę, ale mam nadzieję, że jest w tej chwili z Państwem i słyszy moje słowa. Trochę zazdroszczę, że widzi gromadę studentów i absolwentów MISH – tak jak ją sobie w tej chwili wyobrażam – że może się uśmiechnąć do tego, co jest jakże pięknym i dojrzałym owocem jej pracy. Marysiu droga, mówiłyśmy o nich zawsze „dzieci MISH-owe”... Widzisz je teraz dorosłe, mądre, z doktoratami

i publikacjami. Warto było. Dziękuję Ci, moja droga i niezawodna przyjaciółko.

Mam nadzieję, że wybaczą mi Państwo ten dziękczynno-osobisty ton. Ale właśnie to chciałabym uczynić z okazji tego pierwszego jubileuszu. Podziękować wszystkim, którzy byli i są częścią MISH-u, znakomitym członkom jego Rady Naukowej, wspaniałym tutorom, zawsze niezwykle kompetentnym i życzliwym pracownikom sekretariatu, byłym i obecnym, a więc pani doktor Monice Wilczek, pani magister Małgorzacie Zwolińskiej, magister Gabrieli Szczygieł-Kubasik. To dziękczynienie nie jest bynajmniej formalnością. Dzieło MISH-u w ostatnim dziesięcioleciu współtworzyło tak wiele już osób, każda z nich wyjątkowa i niezastąpiona, niezbędna jak wątek wielkiej i skomplikowanej tkaniny, która dopiero w całości pozwala nam dostrzec wzór.

Najpierw powstała struktura, która funkcjonowała znakomicie mniej więcej do 1 października 2001 roku, a potem pojawili się studenci. Pojawili się i natychmiast zniszczyli strukturę! Nieznośne dzieciaki. Od kiedy rozgościły się w MISH-u, a potem prawie zamieszkały w legendarnej już „zagrodzie” pod schodami wiodącymi do pokoju 126 w gmachu głównym, trzeba było nieustannie korygować, zmieniać i naprawiać zasady, regulaminy, minima, procedury, zapisy, uchwały... Nic już nie działało, bo wszystko było wyjątkowe. Przez sześć kolejnych lat, co roku pojawialiście się pełni entuzjazmu, a czasem tak niezwyklej pasji studiowania, że naszym głównym zadaniem stało się jej moderowanie. Nie, pięćdziesiąt godzin zajęć tygodniowo to stanowczo zbyt wiele. Nie, nie można skutecznie uczyć się pięciu języków

obcych jednocześnie. Nie, nie można zrobić trzech magisteriów w ciągu pięciu lat. Albo też inaczej: „Panie Piotrze, dlaczego nie przyszedł Pan dzisiaj na egzamin?” „Niestety, gdy jadłem rano śniadanie, zamyśliłem się zbyt głęboko i zapomniałem”. Różnorodność ekstensywnych i intensywnych modeli studiowania przyprawiała o zawrót głowy, ale za to pani Maria Filipiak i pani Monika Wilczek na co dzień ćwiczyły się w chrześcijańskich cnotach cierpliwości i miłości bliźniego w stopniu, jak sądzę, nieznanym innym dziekanatom. „Dlaczego nie może być normalnie?” Bo MISH jest dla tych, którzy chcą więcej, którym nie wystarcza to, co zwykle. Czym innym jest wiedza, czym innym systemy edukacji akademickiej i urzędowych klasyfikacji nauk. Młodemu człowiekowi, który rozpoczyna studia, prawie zawsze chodzi jednak przede wszystkim o wiedzę, o te pytania, które w sobie nosi, a które nie mogą jeszcze wybrzmieć w jasnych kwestiach, o ten rodzaj dziwnego przeciążenia emocjonalnego, które pozwala jeszcze zachwycić się myślą, a nie tylko ją zrozumieć. Sądzę, że idea MISH-u wzięła się z pragnienia, by ocalić ten zachwyt i te pytania, by pozwolić jak najdłużej marzyć właśnie o wiedzy, a nie tylko o dyplomie. Czy tylko marzyć? Gdyby marzenia były jedynie mrzonkami, nie należałoby się o nie troszczyć, lecz wręcz przeciwnie – tępić jako rodzaj szkodliwego oderwania od rzeczywistości. Ale sądzę, że marzenia są właśnie po to, by tę rzeczywistość przekształcać.

Gdy w roku 2006 kończyłam swoją drugą kadencję dyrektora Kolegium MISH, studenci ofiarowali mi na pamiątkę album, do którego wkleili swoje zdjęcia.

Minęły cztery lata, a ja wciąż widzę ich twarze, uśmiechy, słyszę ich głosy. Kochani, dziękuję Wam za radość, jaką mi daliście, za wszystkie te cudowne chwile, kiedy mogłam patrzeć na Was z dumą i zachwytem, za to, że nigdy nie pozwoliliście mi zapomnieć, iż uniwersytet jest dla Was, a nie odwrotnie. Życzę KUL-owskiemu MISH-owi, który zawsze będzie „moim” MISH-em, kolejnych lat i dekad sukcesów. Oby zawsze pozostał tym małym uniwersytetem marzeń, z którego niesie się je w szeroki świat tak czyste i pełne siły, jak na początku. ■



Dzień II był poświęcony wspomnieniom. Gościliśmy m.in. mgr Marię Filipiak, ks. prof. Andrzeja Szostka oraz prof. Andrzeja Budzisa

EWELINA PURC

CZAS W KULTURZE WEDŁUG EDWARDA T. HALLA

Czy wyobrażałeś sobie kiedyś, drogi Czytelniku, świat bez czasu? Czy nie łatwiej byłoby żyć, nie odczuwając dobrze nam znanej presji harmonogramów, terminów, ciągłego pośpiechu? Życie w biegu wydaje nam się smutną koniecznością, czymś oczywistym. Jednak są na świecie miejsca, w których ludzie nie znają nawet słowa „czas”, a pośpiech jest dla nich nic nie znaczącym wymysłem.

Czas mówi. Mówi wyraźniej niż słowa¹. Amerykański antropolog Edward Twitchell Hall słusznie zauważył, że czas jest absolutnie kluczowym elementem kultury. Sposoby wykorzystania czasu, gospodarowania nim, a także różnorodność w jego odczuwaniu to fascynujące pole badań i obserwacji nie tylko dla antropologów czy socjologów, ale również dla nas wszystkich, ponieważ często zupełnie nie zdajemy sobie sprawy z możliwości innego postrzegania tak podstawowych kwestii.

Trzy „rodzaje” czasu

Wraz z Georgem L. Tragerem, antropologiem i lingwistą, Hall proponuje nowatorską, trzypoziomową koncepcję kultury, która zakłada istnienie poziomu „formalnego”, „nieformalnego” oraz „technicznego”². Na podstawie badań nad tym, jak Amerykanie gospodarują czasem oraz jak o nim mówią, badacze ci stwierdzili, że istnieją trzy „rodzaje” czasu: czas formalny, nieformalny oraz techniczny. Czas formalny, sprawnie funkcjonujący w życiu codziennym, to ten, o którym wiedzą wszyscy. Czas nieformalny używany jest okazjonalnie, w niejasnych sformułowaniach typu „potem” czy „za chwilę”. Techniczny zaś, to układ zupełnie odrębny, używany przez specjalistów, techników i uczonych.

Hall i Trager doszli do wniosku, że inne dziedziny życia również charakteryzują się analogicznym trójpodziałem poziomów. Prawdopodobnie te trzy aspekty zachowań wywodzą się z trzech różnych części układu nerwowego. To powoduje, że kiedy próbujemy wykonać jednocześnie czynności na więcej niż jednym poziomie, przysparza nam to wręcz paraliżujących trudności. Jako przykład weźmy tu osobę piszącą bez zastanowienia na maszynie (poziom nieformalny), która zaczynając myśleć o układzie liter czy pracy palców, automatycznie napotka duże trudności w pisaniu³.

Czas jako Podstawowy System Przekazu

Hall stwierdził istnienie dziesięciu typów aktywności człowieka, nazwanych przez niego PSP, czyli Podstawowymi Systemami Przekazu (*Primary Message Systems – PMS*) – jednym z nich jest właśnie czas (*temporality*)⁴.

Czas, jak twierdzi Hall, „splciony jest z życiem tak wielorako, że nie sposób go pominąć. Życie pełne jest rytmów oraz cykli”⁵. Mogą to być między innymi rytmy mające związek z przyrodą, takie jak np. menstruacja czy rytm oddechu. Nawet nasze posiłki często odbywają się – w większym lub mniejszym stopniu, ale jednak – o określonych porach.

Mowa czasu

Jedna z osób uznanych w USA za autorytety w sprawach wychowawczych stwierdza (wypowiedź tę przytacza Hall), że potrzeba dwunastu lat, by dziecko opanowało pojęcie czasu. Jednak jego zdaniem pogląd ten należy nieco zaktualizować, gdyż dwunastolatek, mimo że nie ma jeszcze do końca opanowanych szczegółów, to jednak zna podstawy systemu czasowego. Dlaczego



fol. Toni Verdú Carbó

1 E.T. Hall, *Bezgłośny język*, Warszawa 1987, s. 27.

2 Tamże, s. 75-78.

3 Tamże, s. 78.

4 Tamże, s. 58.

5 Tamże, s. 64.

trwa to tak długo? Otóż czas jest pojęciem zawierającym w sobie masę subtelności, pojęciem o wielkim stopniu skomplikowania. Problem sprawia również to, że trzy systemy – formalny, nieformalny i techniczny – często posługują się tym samym słownictwem, co zdecydowanie utrudnia dziecku czy cudzoziemcowi przyswajanie. Takie pojęcia jak np. „rok” mogą być pojmowane zarówno formalnie (365 dni i 6 godzin czy 12 miesięcy), jak i nieformalnie (potocznie mówimy np. „ta sprawa wymaga lat” – co może mieć wiele znaczeń, od minut, poprzez tygodnie, miesiące, aż do rzeczywistych lat). Myśląc technicznie, rok liczymy na dni, godziny, minuty i sekundy. Sprawy nie ułatwia to, że każdy z owych trzech „rodzajów” czasu dzieli się jeszcze na zbiory, diakryty i wzorce (czyli podstawowe składniki przekazu). Sumując, otrzymujemy aż dziewięć typów czasu, z których każdy jest inny. Ciekawe, że nasz dzisiejszy czas formalny, najbardziej dla nas zrozumiały, który chcemy pojmować jako stały, był niegdyś systemem technicznym, rozwijanym przez nielicznych zaznajomionych z nim kapłanów starożytnego Egiptu, usiłujących przewidzieć coroczne wylewy Nilu⁶.

Czas formalny

Założenie najbardziej naturalne dla tradycji świata zachodniego to trwanie czasu. Jednak niektóre kultury mają na ten temat zupełnie inne wyobrażenie. Dla Indian Hopi, na przykład, czas ma znaczną ilość cech innych niż trwanie. W przeciwieństwie do naszego pojmowania czasu, dla nich nie jest on ustalony, nie daje się mierzyć, nie jest też ilością. „Jest tym, co zdarza się, kiedy zboże dojrzewa albo owoce dorastają – charakterystyczną sekwencją zdarzeń. Jest naturalnym procesem, który objawia się, kiedy żywa substancja odgrywa swój własny dramat życiowy.”⁷ Hopi nie byli w stanie zrozumieć, że w danym czasie powinny zostać wykonane np. jakieś prace budowlane, budowa dróg czy chociażby zwykłych domów mieszkalnych, które potrafili budować przez długie lata. Zwyczajnie nie mogli przełożyć sobie okresu budowy domu na np. czas dojrzewania zboża. W efekcie rząd odnosił milionowe straty, a jakiegokolwiek próby perswazji odnośnie dotrzymania terminów były odbierane przez Indian jako atak i akt zastraszenia.

Kolejnym istotnym składnikiem amerykańskiego systemu czasowego jest głębia. Wyraża się to w przekonaniu o istnieniu przeszłości, na której opiera się teraźniejszość. W dużo większym jednak stopniu wykorzystuje to kultura Bliskiego Wschodu czy południowej Azji. Dla Araba sprawą wielkiej wagi będzie, zanim zacznie jakąkolwiek rozmowę czy rozwiązywanie problemu, rozwinięcie przebiegu historycznego danej kwestii, a na swoje pochodzenie patrzy on od dwóch do sześciu tysięcy lat wstecz.

Czas nieformalny

We wschodnich stanach USA spotkania w sprawach służbowych są wyznaczane za pomocą ośmiu nieformalnych jednostek, które determinują stopień punktualności i trwanie spotkania. Są to: „punkt 0”, 5, 10, 15, 20, 30, 45 minut i cała godzina.

Różnice kulturowe na polu nieformalnych aspektów czasu mogą przynosić sporo kłopotów. Okres pięciominutowy ma w euroamerykańskim pojęciu czasu istotne znaczenie. Jednak nie wszędzie jest to rozpatrywane w ten sam sposób. Jeden z amerykańskich ambasadorów, rezydujący w kraju niewymienionym z nazwy, źle interpretował zachowania tamtejszych dyplomatów dotyczące punktualności. Otóż w owym kraju godzinne opóźnienie oficjalnych wizyt było traktowane podobnie jak amerykańskie pięć minut, pięćdziesiąt do pięćdziesięciu pięciu minut – równe czterem minutom, czterdzieści pięć – trzem, itd. Dla tamtejszych dyplomatów punktualne przybycie na spotkanie z owym ambasadorem mogłoby być wyrazem ustępstwa na rzecz Stanów Zjednoczonych, a co za tym idzie – ograniczenia niezależności. Ponieważ jednak nie chcą oni nikogo obrazić godzinnym opóźnieniem – spóźniają się „tylko” pięćdziesiąt pięć minut. Ciężko się więc dziwić, że ambasador czuł się oburzony zarówno spóźnieniem, jak i brakiem przeprosin, jednak w tym kraju opóźnienie tego typu nie jest niczym złym.

Ciekawe, że Arabowie osiedleni na wschód od Morza Śródziemnego mają zupełnie inny podział czasu nieformalnego, a punktów wyróżniających mają nie osiem, jak w kulturze amerykańskiej, a tylko trzy. Ich zbiory to: poza czasem; teraz (obecnie) – o rozmaitej długości trwania; oraz na zawsze (zbyt długo). Arabowie

6 Tamże, s. 141-143.

7 Tamże s. 146.

nie zauważają więc różnicy między czekaniem długo, a bardzo długo⁸.

Hall pokazuje, że nawet tak, wydawałoby się, prozaiczne kwestie jak stosunek do potrzeb fizjologicznych, zupełnie inaczej wyglądają w poszczególnych kulturach. Obywatele Stanów Zjednoczonych zaczynają działać dopiero wtedy, gdy potrzeba taka jest już naprawdę krytyczna, co idealnie widać w tamtejszym rozmieszczeniu toalet publicznych. Hall twierdzi, że w bodaj żadnym innym miejscu na świecie nie są one tak poukrywane jak w jego ojczyźnie. Paradoksalnie, Amerykanie mają skłonność do oceniania innych po stanie nowoczesności instalacji sanitarnych.

Różnorodne typy komunikacji

„Czas mówi o doniosłości danego wydarzenia, jak również o tym, na jakim poziomie dokonują się dane kontakty między ludźmi”⁹. W kulturze euroamerykańskiej istnieją liczne niepisane zasady dotyczące tego, jak ważne w komunikacji bywają części dnia, w których komunikat zostanie nadany. Na przykład telefonowanie do kogoś wczesnym rankiem czy późnym wieczorem jest zazwyczaj znakiem tego, że to sprawa wielkiej wagi, a podobny telefon w nocy – traktowany jest często jako dotyczący życia i śmierci.

Autor wspomina relację antropologa Johna Useema. Rzecz działa się na jednej z wysp południowego Pacyfiku. Doszło tam do zaburzenia równowagi miejscowej społeczności w wyniku ignorancji białych zarządców, którzy zatrudniali zbyt wielu przedstawicieli jednej grupy, podczas gdy dla mieszkańców było to niedopuszczalne – domagali się zatrudniania zgodnie z wymogami, które wynikały z lokalnych podziałów grupowych. Tamtejsza ludność była oburzona, zwołano więc nocną naradę przedstawicieli dwóch miejscowych frakcji, która postanowiła po swoim rozdysonować miejsca pracy. Chcieli zawiadomić o tym zarządcę, udali się więc do niego niezwłocznie, nieszczęśliwie między drugą a trzecią w nocy. Obudzony zarządca, nie znając miejscowego języka ani obyczajów, uznał, że to bunt i wezwał piechotę morską. Okazało się więc, że pory dnia i nocy mogą mieć zupełnie inne znaczenie w zależności od kręgu kulturowego.

Kierownicy fabryk w Stanach Zjednoczonych nigdy nie podadzą ważnego komunikatu przed lub po przerwie obiadowej, gdyż niewątpliwie odciągnęłoby to załogę od pracy. Podobnie jest z dziewczyną, która zaproszenie na randkę w ostatniej chwili uznałaby prawdopodobnie za obrazę. Zupełnie inaczej wygląda to na Bliskim Wschodzie, gdzie mamy do czynienia z luźną strukturą systemu czasowego, a wcześniejsze umawianie się jest postrzegane jako bezcelowe.

W USA występuje pojęcie „czasu przewodniego” – *lead time*. Określa się tym mianem wcześniejsze powiadomienie. Wskazuje to na przywiązanie do harmonogramów, będące cechą charakterystyczną tej kultury. Ludzie muszą wiedzieć, ile czasu należy przygotowywać innych na jakieś zdarzenie, ile tamci będą potrzebować na przygotowania itp.

Pewien amerykański agronom, wysłany jako przedstawiciel dyplomatyczny do ambasady w jednym z krajów Ameryki Łacińskiej, uważając, że wystarczająca ilość czasu od jego przyjazdu już minęła, postanowił ubiegać się o spotkanie z ministrem. Był jednak ciągle odsyłany, terminy przez niego proponowane z niewiadomych przyczyn były nie do przyjęcia. W końcu wymusił spotkanie z ministrem, na które przyszedł nieco wcześniej, jak nakazuje zwyczaj. Po piętnastu minutach oczekiwania na przyjęcie przez ministra, delikatnie zasugerował sekretarce, że minister być może nie wie o jego obecności. Po czterdziestu pięciu minutach czekania (kwalifikującego się już jako „jawna obraza”), nie krył swego oburzenia i wyłożył sekretarce, co o tym wszystkim myśli. Odpowiedź ministra po przekazaniu mu przez sekretarkę informacji o tym, co się zdarzyło, była krótka: „No to pozwólmy mu się wysiedzieć”. Okazało się bowiem, że według wzorców obowiązujących w tym kraju, czterdziestopięciominutowa zwłoka praktycznie nic nie znaczy, a ów przedstawiciel winien był zostać uprzedzony o zasadach funkcjonowania systemu czasowego w tym kraju¹⁰.

Czas amerykański

Amerykanie myślą o czasie jako o stałym składniku przyrody, jak o czymś nieuchronnym, od czego nie da się uciec, czymś ciągle nas otaczającym. Czas jest dla

8 Tamże, s. 149-151.

9 Tamże, s. 27.

10 Tamże, s. 27-31.

nich jak powietrze i doprawdy ciężko im pojąć to, że inni mogą traktować go zupełnie inaczej. A dzieje się tak zupełnie niedaleko, bo chociażby w Ameryce Łacińskiej, gdzie częstym powiedzeniem jest: „*Hora americana, hora mejicana?*” (Wedle waszego czy naszego czasu?), a stosunek do czasu jest – jak to określa sam Hall – „raczej nonszalancki”¹¹.

Mimo silnego nastawienia na przyszłość, jest ona raczej ograniczona i dla Amerykanina obejmuje tylko to, co można przewidzieć. Tłumaczy to fakt, że w Stanach Zjednoczonych bardzo ciężko jest zaplanować jakiegokolwiek prace, które będą trwały długo, powiedzmy – 150 lat. „Długo naprzód” to powiedzenie, które może oznaczać bardzo wiele przedziałów czasowych: od kilkudziesięciu lat do nawet kilku dni. Zupełnie inaczej niż w południowo-wschodniej Azji, gdzie owa przyszłość może obejmować nawet wieki, a przeciętny obywatel myśląc „długofalowo”, będzie rozumował w kategoriach setek lat, tysiącleci, a nawet nieskończoności¹².

Inne koncepcje czasu

Wbrew częstemu przekonaniu, że znany nam system czasowy jest jedynym obowiązującym na świecie, gdyż nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie innego, ludzie z różnych kultur mierzą, postrzegają i odczuwają czas na niezmiernie dużą ilość sposobów. Jednym z przykładów niech będą Indianie Pueblo, mieszkający na południowym zachodzie Stanów Zjednoczonych. Zdarzenia zaczynają się dla nich nie w jakimś konkretnym terminie, a wtedy, kiedy czas po temu dojrzeje.

Hall wspomina, jak przed laty przejechał długą drogę, by obejrzeć taniec wigilijny w wykonaniu Pueblo. Ze względu na późną porę i położenie wioski (ponad 2000 m n.p.m.), panowało tam niesamowicie zimno. Zniecierpliwiony naukowiec oraz ludzie spoza plemienia, czekający w kościele na uroczystość, byli wyraźnie zniecierpliwieni, co dodatkowo pogłębiał panujący wszędzie niezwykle spokój, brak atmosfery jakiegokolwiek pośpiechu. Ludzie co jakiś czas mieli nadzieję, że to już pora, ponieważ do kościoła co jakiś czas wchodził Indianin, lecz po chwili znikał za drzwiami. Przed drugą w nocy wycieńczeni ludzie zaczęli podejrzewać, że może nie są tu mile widziani i dlatego

Pueblo nie rozpoczynają tańca. Nikt, nawet miejscowi, nie miał pojęcia, kiedy wszystko może się zacząć. Bliszy utraty sił, biali usłyszeli nagle dźwięki bębnow i bez żadnego uprzedzenia taniec się rozpoczął. Wiadomo już, że powodem takiego stanu rzeczy jest inne poczucie czasu Pueblo, a taniec wigilijny nie należał do żadnego harmonogramu czy planu zajęć.

W porównaniu z ludźmi Wschodu, człowiek Zachodu ma bardzo krótkowzroczną wizję przyszłości. Jednak w porównaniu do Indian Navajo, człowiek Zachodu jest – jak to określa Hall – „wzorem bezgranicznej cierpliwości”¹³. Dla Navajo tylko tu i teraz są rzeczywiste, czas traktuje się jak przestrzeń. Hall obrazuje to opowieścią jego starego przyjaciela. Navajo kochają konie i grę na wyścigach. Jeśli obieca się Indianinowi, że za kilka miesięcy podaruje mu się bardzo dobrego konia, wygrywającego dużo wyścigów, ten posmutnieje i odejdzie zawiedziony. Kiedy zaś sprezentuje mu się „worek z kośćmi”, który ledwo trzyma się na nogach, starą i niesamowicie brzydką klacz z podartym siodłem, którą jednak może on sobie wziąć natychmiast, radość Navajo będzie ogromna i z przyjemnością odjedzie na swym nowym koniu. Z tych dwóch darów jedynie natychmiastowy wydaje się Navajo rzeczywisty, a czegoś, na co musi poczekać jakiś czas, nie bierze nawet pod uwagę.

Indianie Navajo, objęci programem ochrony gleby i pastwisk, nie potrafili zrozumieć, że im szybciej i więcej grobli zbudują, tym więcej wody będą miały ich owce. Rzeczą niemożliwą wydawało się więc skłonienie ich do wykonania tego w określonym czasie. Hallowi, który kontrolował przez jakiś czas tę budowę, pomogła rozmowa z przyjacielem, który całe życie spędził w rezerwacie. Dowiedział się bowiem od niego, że Navajo respektują umowy, urządził więc specjalne spotkanie z robotnikami. Przedstawił sprawę w ten sposób, że rząd da im pieniądze, z których będą mogli spłacić swoje długi. Da też możliwość pracy blisko ich rodzin i dostarczy wody dla owiec. W zamian muszą oni pracować osiem godzin dziennie, a wszystko to tworzy umowę. Dopiero wtedy Navajo zaczęły pracować tak dobrze, jak potrafią.

Indianie z plemienia Siuksów nie mają nawet żadnego słowa na określenie czasu. Nie ma w ich

11 Tamże, s. 30.

12 Tamże, s. 31-34.

13 Tamże, s. 35.

języku słów takich jak „czekać” czy „spóźnić się”. Pewien przedstawiciel plemienia, absolwent jednego z najlepszych college’ów, który został nadintendentem Siuksów, stwierdził, że dopóty nie przystosują się oni do kultury białych, dopóki nie nauczą się nazywać czasu i nie poznają zasad rządzących systemem czasowym. W celu „nauczenia” swoich współplemieńców czasu kupił kilka zegarków i wręczył między innymi kierowcom autobusów szkolnych, którym nakazał punktualne wyruszanie bez względu na to, czy wszyscy zdążą już wsiąść. W ten sposób Indianie nauczyli się, że muszą być na przystanku na czas, inaczej autobus odjedzie bez nich. Był to doskonały sposób, by Siuksowie zrozumieli, że spóźnienie może – analogicznie do sytuacji z autobusem – spowodować np. utratę pracy w mieście.

Traktowanie czasu przez mieszkańców atolu Truk na południowo-wschodnim Pacyfiku niezwykle komplikuje życie zarówno im samym, jak i innym ludziom. Jak pisze Hall: „Na atolu Truk czas niczego nie koi. Wydarzenia gromadzą się z coraz większą siłą ciężąc na teraźniejszości. To, co zdarzyło się niegdyś, traktowane jest tak, jakby działo się przed chwilą.”¹⁴ Przekonał się o tym pewien dyżurny oficer wojsk Stanów Zjednoczonych, które zajęły Truk pod koniec drugiej wojny światowej. Do jego siedziby wpadł zadyszany miejscowy z informacją, że dokonano morderstwa, a sprawca jest na wolności. Ku zdumieniu wszystkich, po dochodzeniu okazało się, że zdarzenie to miało miejsce przed siedemnastu laty. Innym przykładem jest dotyczący ziemi na atolu spór, który ciągnął się z taką samą zjadłością przez ponad pięćdziesiąt lat. Mieszkańcy Truk wypominają wodzowi i sobie nawzajem każdą błahostkę, czas nie leczy tam ran. Ciągłe dochodzi do konfliktów, oskarżeń, domagania się odszkodowań. Ponadto nie potrafią oni też pojąć, że dwa wydarzenia dziejące się w różnych miejscach mogą być jednoczesne.

Plemię Tivów z Nigerii, charakteryzujące się bardzo prymitywną kulturą, posługuje się słońcem i księżycem do mierzenia czasu, który jest według nich podzielony na przegródki. Tamtejszy odpowiednik tygodnia ma od pięciu do siedmiu dni, a każdy dzień tygodnia bierze swą nazwę od towarów sprzedawanych na pobliskim targu.

Pewien czarownik z afrykańskiego plemienia Thonga

znał na pamięć wydarzenia ostatnich siedemdziesięciu lat, a nawet potrafił je wyliczyć we właściwej kolejności. Traktował on ten okres jako „erę”, twierdząc, że owa „era”, trwa „cztery miesiące i osiemset lat”. Ktoś mógłby powiedzieć, że jest to człowiek prymitywny, jednak wiąże się to po prostu z innym pojęciem czasu i tym, że dla owego czarownika „następstwo zdarzeń w czasie” i „era” to dwie różne sprawy, między którymi nie zachodzi związek.

Stosunek Irańczyków do terminarza dnia dzisiejszego jest raczej lekceważący; bardzo częste są sytuacje, w których, mimo dokładnego umówienia się co do godziny i sposobu dotarcia na miejsce itp., spotkanie nie dochodzi do skutku. Irańczycy jednak przywiązują dużą wagę do przeszłości, szczególnie chętnie wracają do wielkich epok kultury perskiej. Przyszłość natomiast jest dla nich mało realna. Weźmy tu pod uwagę jako przykład przypadek pewnego biznesmena, który wydał setki tysięcy dolarów na różne urządzenia, dla których kompletnie nie przewidywał zastosowania.

Z kolei w Afganistanie stykamy się z jeszcze innym poczuciem czasu. Pewien człowiek pojawił się w Kabulu i wypytywał wszystkich kupców o swojego brata, którego szukał. Powiedział im także, gdzie się zatrzymał, gdyby brat się pojawił. Po pół roku wrócił w to samo miejsce i powtórzył jeszcze raz to samo. Ktoś zapytał go, czy odnalazł brata. Odparł, że, owszem, odnalazł, a nawet umówili się w Kabulu, jednak nie ustalili, w którym roku mają się spotkać¹⁵.

Głosy czasu

Idealnym dowodem na to, że czas mówi, jest znany, funkcjonujący w kulturze amerykańskiej zwrot: „*What time does the clock say?*” (czyli: Którą godzinę wymawia zegar?)¹⁶. Często nawet nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak wiele jest w stanie powiedzieć sam czas, oraz to, w jaki sposób się nim posługujemy. Tymczasem kultura zmienia się, dojrzewa, oprócz tego obserwujemy postępujący proces jej unifikacji, jednak musimy zdawać sobie sprawę z tego, że rzeczą niemożliwą jest jej całkowite ujednolicenie, w każdym wymiarze i aspekcie. Dopóki panuje różnorodność, dopóty świat jest urozmaicony i pełen barw, a dialog międzykulturowy ma sens. ■

¹⁵ Tamże, s. 34-42.

¹⁶ Tamże, s. 28.

¹⁴ Tamże, s. 39.

ELŻBIETA DROZDOWSKA

CZAS W ASPEKCIE FIZYKI

Czas jest wielkością używaną w fizyce do mierzenia prędkości i przyspieszenia ciał, a także do określania następstwa zdarzeń. Wiele trudności nastrocza jednak ustalenie, czym i jaki jest on w swej istocie. Znane są pewne jego cechy, ale dotyczące go koncepcje znacznie zmieniały się w ciągu wieków – i zapewne dalej będą zmieniać.

Uzaranie dziejów czas pojmowano cyklicznie. Było to odzwierciedleniem obserwacji regularnych zmian w przyrodzie, takich jak następstwo pór roku, ruchy ciał niebieskich czy wylewy Nilu. Czas zdawał się zataczać koła, wracać do punktu wyjścia, wszak zawsze po zimie następuje wiosna, a Księżyc z pełni przechodzi do nowiu i z powrotem. Nie bez przyczyny definiowano czas przez zmiany – już Arystoteles powiedział, że czas jest miarą ruchu, a bez postrzegania zmian nie może być mowy o upływie czasu.

Pogląd ten zmodyfikowało chrześcijaństwo, wprowadzając linearny model czasu. Wydarzenie takie jak przyjście Chrystusa na świat nie mogło być powtarzalne, a stworzenie świata ustanawiało w przeszłości punkt, od którego wszystko się zaczęło i dalej rozwijało.

Czas absolutny

Niezależnie od tego, czas był pojmowany jako absolutny, tzn. nieskończony, jednorodny i jednostajny.

Starożytni uważali, że świat nie ma początku, tak samo jak czas, który porządkuje zmiany w nim zachodzące, więc muszą istnieć równolegle. Późniejsi myśliciele natomiast, między innymi Izaak Newton, uważali, że czas istnieje odwiecznie, niezależnie od przestrzeni i świata, a żadne zjawiska nie mają wpływu na jego bieg – jest obiektywny i jednakowy dla wszystkich obserwatorów. Istniał jeszcze przed powstaniem Wszechświata wraz z absolutną przestrzenią, na której własności materia nie ma wpływu.

Absolutny czas ma istotne znaczenie dla zasad dynamiki Newtona. Umożliwia mierzenie prędkości i przyspieszeń obiektów znajdujących się w dowolnym inercjalnym układzie odniesienia¹ oraz wymusza przyjęcie istnienia absolutnej równoczesności zdarzeń,

co oznacza, że jeśli dwa zdarzenia zachodzą w tej samej chwili czasu absolutnego, to są równoczesne niezależnie od tego, z jakiego układu odniesienia się je obserwuje. Jak pokazała fizyka relatywistyczna, nie zawsze jest to prawda.

Newton sformułował też tzw. klasyczną teorię względności, która mówi, że we wszystkich układach odniesienia poruszających się względem siebie ruchem jednostajnym prawa mechaniki są takie same.

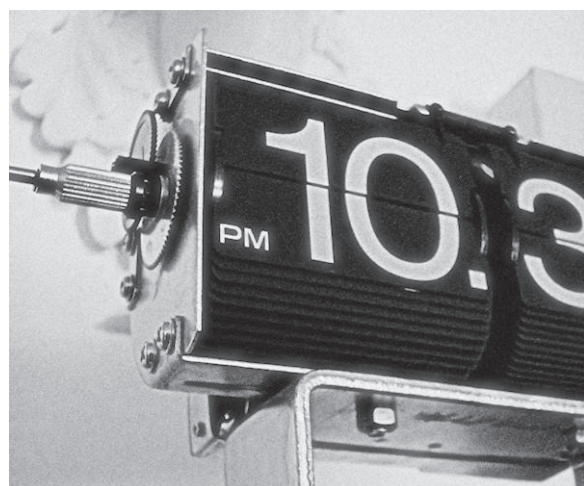
Czy aby na pewno czas jest absolutny?

Pierwsza krytyka poglądów Newtona pojawiła się jeszcze za jego życia. Podjął się jej Gottfried Leibniz. Twierdził on, że czas i przestrzeń nie mogą istnieć poza materią, bo są jej atrybutami i przede wszystkim porządkują zdarzenia, które poza nią nie istnieją. Przestrzeń nie może więc być „pojemnikiem na rzeczy”, dla którego nie jest istotne, czy coś się w nim znajduje, czy nie.

Ernst Mach natomiast uważał, że absolutne czas i przestrzeń są nieweryfikowalnymi „wtrętami metafizycznymi” i w związku z tym należy te pojęcia usunąć z nauk ścisłych.

Teoria Względności Einsteina

W 1905 r. Albert Einstein opublikował teorię, która rozwiązała kryzys w klasycznej fizyce i zmieniła sposób



¹ Inercjalne układy odniesienia to takie układy, które poruszają się względem siebie ruchem jednostajnym i prostoliniowym. Wśród nich żaden nie jest wyróżniony, tzn. w każdym prawa mechaniki mają taką samą postać.

myślenia o rzeczywistości.

W drugiej połowie XIX w. James Clerk Maxwell wyjaśnił rozchodzenie się zaburzeń elektromagnetycznych (np. światła, podczerwieni, promieni Roentgena itp.) jako fal. Okazało się jednak, że przy próbach opisanie ich mechanicznie (co powinno być możliwe, skoro mają postać falową) mechanika klasyczna zawodzi. Przede wszystkim trzeba było założyć, że rozchodzą się w ośrodku zwanym eterem, ale doświadczenie Michelsona-Morleya zdecydowanie zaprzeczyło jego istnieniu, a dodatkowo wykazało stałość prędkości światła niezależnie od obserwatora. Co więcej, według klasycznej transformacji galileuszowej w układach inercjalnych obiekty powinny były osiągać prędkość większą od prędkości światła – której nic nie jest w stanie przekroczyć.

Einstein oparł Szczególną Teorię Względności na dwóch założeniach:

1) Prędkość światła w próżni jest jednakowa we wszystkich układach poruszających się względem siebie ruchem jednostajnym.

2) Wszystkie prawa fizyki są jednakowe we wszystkich układach poruszających się względem siebie ruchem jednostajnym.

Ogólna Teoria Względności została poszerzona o opis układów nieinercjalnych (poruszających się z przyspieszeniem) i zasadę równoważności (według której nie ma różnicy między spadkiem swobodnym w polu grawitacyjnym a ruchem w układzie przyspieszającym).

Wynikł z tego cały szereg osobliwych konsekwencji.

Prędkość czasu jest stała i nieosiągalna

W czasach Newtona uważano, że prędkość czasu jest nieskończona. Pierwszego odnotowanego pomiaru prędkości światła dokonał Galileusz, była to jednak próba nieudana. Udaną próbę odnotował Ole Rømer w 1676 roku. Według jego szacunków, prędkość światła wynosiła ok. 200.000 km/s. Obecnie wiemy, że w próżni wynosi ona w przybliżeniu 300.000 km/s.

Jest to prędkość graniczna. W próżni mogą się z nią poruszać jedynie ciała pozbawione masy spoczynkowej, takie jak fotony. Dla ciał obdarzonych masą, przy zbliżaniu się do prędkości światła, długość układu dąży do zera, a masa i dylatacja do nieskończoności – dla prędkości równej prędkości światła czas znika, ciało jest

nieskończenie ciężkie i nie ma wymiarów.

Oprócz prędkości światła, niepodlegającym względności niezmiennikiem w Teorii Względności jest interwał czasoprzestrzenny.

Czasoprzestrzeń

Czas nie jest absolutny ani oddzielony od przestrzeni. W mechanice relatywistycznej stanowi czwartą współrzędną czasoprzestrzeni. Jego upływ zależy od obserwatora i jest różny dla różnych obserwatorów. O ile w przestrzeni trójwymiarowej podstawową jednostką był punkt, który miał trzy współrzędne (x , y , z), o tyle w czasoprzestrzeni jednostką jest zdarzenie, które ma trzy wymiary położenia w przestrzeni i współrzędną czasową. „Odległość” pomiędzy dwoma zdarzeniami w czasoprzestrzeni nazywana jest interwałem czasoprzestrzennym.

Na kształt czasoprzestrzeni wpływa masa, która ją zakrzywia, a także wytwarza pole grawitacyjne, w którym czas zwalnia.

Dylatacja czasu i kontrakcja przestrzeni

Aby móc opisać świat, niezbędny jest obserwator, z którym powiązany byłby jego układ odniesienia. Różni obserwatorzy opisują świat inaczej ze względu na swoje położenie, prędkość, z jaką się poruszają względem innych, czy natężenie pola grawitacyjnego, w którym się znajdują. Okazuje się, że dla układów, które znajdują się w silniejszych polach grawitacyjnych, czas płynie wolniej. Oznacza to, że na powierzchni Ziemi czas płynie wolniej, niż w przestrzeni kosmicznej, a szybciej, niż np. na powierzchni Jowisza.

W przypadku układów odniesienia, z których jeden porusza się względem drugiego z dużą prędkością, w układzie poruszającym się czas płynie wolniej. Wynika to z zasady równoważności. Im prędkość bliższa prędkości światła, tym większa dylatacja czasu. Dla niskich, dostępnych nam w doświadczeniu codziennym prędkości, transformacja Lorentza (stosowana przy transformacjach relatywistycznych) przechodzi w transformację klasyczną – tzn. dylatacja jest zaniedbywalnie mała.

Dylatacji zawsze towarzyszy kontrakcja (skrócenie) przestrzeni wzdłuż kierunku poruszania się. Podobnie jak w przypadku dylatacji czasu, efekt jest zauważalny dopiero przy bardzo dużych prędkościach.

Względność jednoczesności

Zdarzenia jednoczesne w jednym układzie odniesienia mogą takimi nie być w innym układzie. Najśłynniejszy przykład został podany przez Einsteina: wyobraźmy sobie wagon poruszający się ruchem jednostajnym, pośrodku którego znajduje się obserwator O nieruchomy względem niego, a na przedniej i tylnej ścianie wagonu znajdują się lampki, które zapalają się równocześnie. Z punktu widzenia tego obserwatora, światło z obu lampek dotrze do niego równocześnie, ale z punktu widzenia obserwatora znajdującego się na zewnątrz, skoro wagon porusza się, to O „ucieka” od sygnału wysłanego przez lampkę na tylnej ścianie, a porusza się w stronę sygnału wysłanego przez lampkę na przedniej ścianie wagonu. Dlatego też z jego punktu widzenia sygnały nie dotrą do O równocześnie.

Równoważność masy i energii

Z teorii Einsteina wynika też, że energia jest równoważna masie pomnożonej przez prędkość światła podniesioną do kwadratu. W momencie opublikowania teorii wydawało się to mało prawdopodobne, jednak spekulacje umilkły po wykorzystaniu energii jądrowej w bombach atomowych.

Inne właściwości czasu – strzałka czasu

Charakterystyczną cechą czasu jest to, że płynie zawsze w jednym kierunku – od przeszłości do przyszłości. Nie do końca wiadomo, czym jest to spowodowane – prawa fizyki, poza drugą zasadą termodynamiki, są niewrażliwe na jego zmianę, a jednak w świecie przez nie opisywanym czas płynie w jednym kierunku. Powstaje pytanie, czy jest to spowodowane wyłącznie zasadami termodynamiki, czy też jest to przejaw innego, nieznanego jeszcze, prawa.

Teoria względności, pomimo dużej trafności w opisie rzeczywistości, nie tłumaczy wszystkich zjawisk. Nie da się jej również połączyć z mechaniką kwantową. Świętym Graalem współczesnej nauki jest Teoria Superunifikacji – tzw. Teoria Wszystkiego – która tłumaczyłaby wszystkie prawa fizyki jednym zbiorem reguł, a nie kilkoma teoriami częściowymi. Nie jest ona jeszcze w zasięgu naszych naukowców, ale gdy zostanie odkryta, z pewnością wywoła duże zamieszanie w nauce, a obecne teorie zostaną określone „klasycznymi”.

Czego nowego dowiemy się wtedy o czasie?

Czas pokaże. ■

KAROLINA MALECKA

NIE MASZ FACEBOOKA? TO TAK, JAKBYŚ NIE ISTNIAŁ!

To słowa często słyszone przez osoby deklarujące nieposiadanie konta na żadnym z portali społecznościowych. Słowa wypowiedziane oczywiście w żartach, ale nie bez przyczyny. Na portalu naszaklasa.pl swoje konto posiada ok. 13 mln. Polaków (czyli blisko 2/3 internatów), na serwisie facebook.com zarejestrowanych jest ponad 3 mln. i liczba ta ciągle rośnie („Społeczności wirtualne”, raport CBOS, maj 2010). Na czym polega fenomen tych portali?

Wśród studentów KUL-u panuje trochę inna tendencja niż wśród ogółu Polaków. Spośród 50 (25 kobiet i 25 mężczyzn) ankietowanych internatów z różnych kierunków tylko 1 osoba nie posiada i nigdy nie posiadała konta na żadnym z portali (czy zaskakuje, że to student informatyki?). Pozostali to użytkownicy przede wszystkim Facebooka (76%) i Naszej Klasy (58% respondentów), przy czym można zauważyć zdecydowaną dominację kobiet używających aktywnie tych portali (odpowiednio 84% i 68% respondentek). Zapewne wynika to też z faktu, iż aż 56% ankietowanych kobiet deklaruje posiadanie konta na dwóch lub większej ilości portali, natomiast 60% mężczyzn posiada konto na tylko jednym serwisie (czyżby mężczyźni byli bardziej wierni?). Inne serwisy, których używają ankietowani, to myspace.com, mojageneracja.pl, fotka.pl, grono.net, przeznaczeni.pl, aktywni.pl, goldenline.pl, soup.io.

Społeczności wirtualne

„Kontaktuję się ze znajomymi, rozmawiam na czacie, wysyłam wiadomości” – to zdecydowanie najczęstsza (96% kobiet i 84% mężczyzn) odpowiedź na pytanie o sposób korzystania z portali. Badania CBOS-u dały podobny wynik – 85% użytkowników portali za najważniejszy cel udziału w nich uważa utrzymanie kontaktów ze znajomymi. Z pewnością to właśnie możliwość odnawiania starych znajomości oraz podtrzymywania kontaktów z obecnymi znajomymi poprzez dodawanie/oglądanie zdjęć, komentarzy, notatek,

opisów, a także czat (taką aktywność wykazuje 56% respondentów) jest przyczyną ogromnej popularności Facebooka i NK. Znacznie mniej ankietowanych poznaje nowych ludzi (26%) i gra w gry internetowe, rozwiązuje quizy (26%), a także opisuje swoje przeżycia i refleksje (22%). Okazuje się, że młodzi ludzie używają portali społecznościowych również po to, aby dzielić się z innymi swoją własną twórczością: zdjęciami, muzyką, poezją (18%), a także w celu propagowania szeroko rozumianej kultury. „Zamieszczam ciekawe linki i informacje dotyczące wydarzeń kulturalnych” podkreśla respondentka. „Dzięki takiemu działaniu znajomi mogą się łatwo i szybko dowiedzieć: co? gdzie? kiedy?”

„Skąd wiesz? - Z Facebooka.”



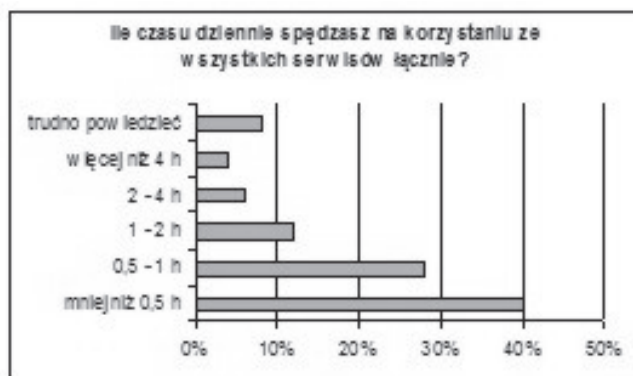
<http://www.flickr.com/photos/marcopako/2391747442/>

Inną domeną serwisów jest możliwość „polubienia” nie tylko komentarza czy linka znajomego, ale również profilu firmy czy instytucji, co daje dodatkowo możliwość wzięcia udziału w ogromnej ilości konkursów. Twórcy serwisów społecznościowych wzięli sobie do serca jedną z podstawowych wg. Masłowa potrzeb człowieka – potrzebę przynależności. W niektórych serwisach utworzone są fora tematyczne, grupy dyskusyjne, w nk.pl mamy klasy, a wcześniej wspomniana Facebookowa funkcja „Lubię to!” odnosi się też do ogromnej ilości grup zrzeszających ludzi o podobnych zainteresowaniach, wspomnieniach, oczekiwaniach czy preferencjach. „Grupy na fejsie pozwalają poznać człowieka. Szczególnie takiego, który na portalu spędza trochę więcej czasu. W zasadzie można się dowiedzieć o nim prawie wszystkiego: jakie ma przyzwyczajenia, czy ma poczucie humoru i czy jest inteligentny” mówi Bartek. „Ja dołączam do przynajmniej dziesięciu grup dziennie, a czasami nawet do ok. stu. Można to porównać do pokazania siebie całemu światu. Mogę zaprezentować, że np. «Nie jestem Niemcem, nie jestem Polakiem, jestem Ślązakiem». Dołączenie do grupy może wyrażać mój stosunek do czegoś, a także chęć do organizowania się, do poczucia wspólnoty. Ale to wszystko pokazuje nam równocześnie, że nie jesteśmy wcale takimi indywidualnościami, za jakie się uważaliśmy, że nie tylko ja «Od zawsze marzę, żeby wsiąść do taksówki i krzyknąć: Za tym samochodem!»

i że albo ja nie jestem nienormalny albo nienormalny jest świat” – dodaje.

Student KUL-u a czas w sieci

Portale społecznościowe oferują nam szeroki wachlarz funkcji i możliwości. Jest z czego wybierać. Ale kiedy z tej oferty korzystać? Większość studentów twierdzi, że ma zbyt mało wolnego czasu. Wyniki mojej ankiety to potwierdzają. Mimo że 50% respondentów loguje się na portalu codziennie, tylko 36% z nich jest zalogowana na portalu więcej niż dwie godziny dziennie lub nie potrafi tego określić (w większości podkreślają, że są online kilka godzin, ale zwykle robią na komputerze coś innego i zaglądają na portal od czasu do czasu). Spośród wszystkich ankietowanych 40% spędza łącznie mniej niż pół godziny dziennie, korzystając ze wszystkich serwisów, 28% deklaruje, że jest to mniej niż godzina dziennie, a 12% – od dwóch do czterech godzin. Kilka razy w tygodniu z portali społecznościowych korzysta 38% zapytanych przez mnie studentów. Respondenci pytani o to, jak sami oceniają czas spędzany w sieci, w tym na korzystaniu z portali, w największej ilości twierdzili, że jest to odpowiednia ilość czasu (48%). Były to przede wszystkim osoby spędzające w Internecie mniej niż godzinę, ale również do 4 godzin. Niewiele mniej, bo 46% respondentów przyznaje się, że zbyt dużo czasu poświęca na buszowanie w sieci. Co ciekawe, są to zarówno te osoby, które logują się na portale społecznościowe kilka razy w tygodniu, jak i te, które korzystają z nich codziennie i nie potrafią określić, jak długo. Warto zauważyć, że z możliwości łączenia się z serwisami społecznościowymi przez telefon komórkowy korzysta 24% ankietowanych, z czego $\frac{3}{4}$ to mężczyźni.



<http://www.flickr.com/photos/massimobarbieri/3185202042>



Czas stracony?

Czy częste korzystanie z Internetu i portali społecznościowych wpływa na nasze życie osobiste? Pozytywny efekt jest widoczny na pierwszy rzut oka: stały kontakt ze znajomymi z bliska i z daleka, odnawianie znajomości, szybkie dzielenie się refleksjami, ciekawymi linkami i informacjami kulturalnymi, zasięganie informacji, rozrywka bez wychodzenia z domu i dodatkowych opłat. Można by jeszcze długo wymieniać. Ale czy ze wszystkimi naszymi „znajomymi” zamieniamy jakiegokolwiek dwa słowa, gdy spotykamy ich przypadkiem na ulicy? Czy panujemy nad ilością czasu spędzaną w sieci? I jaki jest koszt alternatywny (mówiąc językiem ekonomii) długiego i częstego bycia online? Na niektóre z tych pytań odpowiadali ankietowani. Najwięcej, bo 82% respondentów zaznacza, że zdarzyło im się korzystać z Internetu więcej czasu niż zamierzali i, co się z tym wiąże, mieli z tego powodu poczucie winy lub straconego czasu (niezależnie od deklarowanego czasu spędzanego w serwisach społecznościowych). Oznacza to, po pierwsze, że internauci mają świadomość,

ile mogliby zrobić, gdyby nie korzystanie – czasem bezcelowe – z Internetu. Po drugie, daje do zrozumienia, że w sieci czas płynie inaczej, szybciej. Dopiero włączyłeś komputer, a za chwilę się okazuje, że to było kilka godzin temu. A jak się zaczynasz nudzić – wystarczy się wylogować. Tymczasem nudzimy się rzadko i aż 48% ankietowanych zdarzyło się nie wykonać jakiegoś obowiązku z powodu zajęcia Internetem. Ponadto 10% ankietowanych przyznało się, że zdarzyło im się zrezygnować ze spotkania towarzyskiego na rzecz korzystania z Internetu. Ale takie sytuacje mają miejsce bardzo rzadko, bo przecież,

mimo wszystko, właśnie kontaktu z żywym człowiekiem potrzebujemy najbardziej.

„Czy to czas stracony? – zastanawia się Bartek. – To zależy, bo powiedzmy sobie szczerze... portal społecznościowy to mnóstwo nowych informacji (mam wiele profili informacyjnych, które mi się wyświetlają na ścianie). Z Facebooka dowiedziałem się też mnóstwa rzeczy o moich znajomych. W realu nie zawsze jest bodziec do niektórych tematów. Na fejsie ciekawe rozmowy często zaczynają się od zamieszczenia przez kogoś linka, piosenki, zdjęcia, zabawy czy wyników quizu. Na żywo na pewno bym się tyle nie dowiedział. Na żywo nie ma tyle czasu, aby nad takimi sprawami dyskutować, a fb pozwala na rozłożenie dyskusji w czasie. To można uznać za substytut obcowania z ludźmi”.

Dzisiaj Bartek nie posiada już konta na Facebooku, bo – jak sam stwierdził – „uzależnił się od niego” i woli jednak bardziej angażować się w prawdziwe niż w wirtualne życie. Może każdy użytkownik tego typu portali powinien się nad tym zastanowić? ■

JOANNA GŁĄZ

JAK BYŁEM MAŁY, TO PRZEWIJAŁEM KASETY DŁUGOPISEM...

Do polskiej grupy o takiej właśnie nazwie utworzonej na portalu Facebook zapisało się już ponad 14 000 osób. Do hiszpańskiej prawie 180 000. A firma Sony wyprodukowała w tym roku ostatni odtwarzacz muzyczny o magicznej nazwie Walkman.

Pierwszy wyprodukowany został w 1979 r., od samego początku był niezwykle popularny. Miał niezaprzeczalne atuty, był lekki i poręczny, jak żaden wcześniejszy odtwarzacz. W Polsce, z oczywistych względów historycznych i ekonomicznych, Walkman przeżywał swoje złote czasy o wiele później, bo gdzieś w połowie lat 90. Choć samo słowo było zastrzeżoną nazwą towarową firmy Sony, z czasem na rynku masowo zaczęły się pojawiać tańsze podróbki, również korzystające z tej krótkiej nazwy, o wiele wygodniejszej niż „przenośny odtwarzacz kasetowy”.

Nieodłączną towarzyszką Walkmana była, rzecz jasna, kaseeta magnetofonowa. W każdym większym mieście znajdował się przynajmniej jeden sklep z kasetami, a w mniejszych, jeśli nie sklep, to przynajmniej budka na bazarze lub nawet łóżko polowe z wyłożonymi na nim kasetami.

Sprzedawcy robili na tym naprawdę niezły interes. Na muzyce! Dziś rzecz nie do pomyślenia. W ofercie dostępne były głównie kasety z muzyką discopolu, choć trafiali się też popularni wykonawcy zagraniczni, np. Backstreet Boys czy The Kelly Family.

Ja nie mam z dzieciństwa wspomnień związanych z posiadaniem tego cudenka ówczesnej techniki, choć ma je większość moich znajomych. Walkman był przez pewien czas hitem wśród prezentów komunijnych, ale ja „niestety” dostałam rower. Walkmana nie znalazłam też pod choinką ani w żadnym z prezentów urodzinowych, był więc przez długi czas przedmiotem mego pożądanego.

Kiedy w roku 2000 kupiłam sobie wreszcie pierwszego w życiu Walkmana, większość znajomych przerzuciła się już dawno na kompaktowe discmany. Mimo to nie uległam nowej modzie i dzielnie korzystałam z wysłużonego kaseciaka aż do połowy liceum, kiedy to mogłam jedynie z podniesionym czołem godnie znosić bycie absolutnym dinozaurem technicznym.

Zrezygnowałam z tego w końcu z kilku przyczyn. Po pierwsze, coraz częściej ulegałam frustracji z powodu wciągniętej taśmy od mojej ukochanej kasety. A

naprawiać tej usterki już nikt nie chciał. Po drugie, na półkach przestały mi się mieścić albumy. Nie wiem, jak i kiedy, ale zebrało się tego z pół tysiąca (brzmi i kurzy się to równie imponująco). Po trzecie, choć jestem osobą naprawdę odporną na uleganie zbiorowej presji, to jednak coraz trudniej przychodziło mi ukrywanie rumieńców, kiedy w autobusie Walkman wypadł mi z kieszeni lub gdy musiałam w miejscu publicznym zmienić stronę w kasiecie (do dziś większość starszych albumów ma w mojej głowie podział na stronę A i B).

Nigdy nie sądziłam, że dożyję czasów, gdy nadejdzie swoisty *come back* kaset magnetofonowych, a tym samym i Walkmanów. Nośnik ten wydawał mi się odpowiedni dla swoich czasów, ale zupełnie nieprzystający do współczesności. Dźwięk był słaby i z każdym odtworzeniem coraz gorszy, ponadto nie miał w sobie takiego uroku



jak trzask płyt gramofonowych, na które wytworzył się snobizm. I, choć Wikipedia twierdzi, że jest inaczej¹, miałam rację, bo stare kasety znajomych wylądowały najczęściej na śmietniku lub w pudle na strychu (oczywiście nie moje!).

Pozostała oczywiście tęsknota, jak prawie za wszystkim, co kojarzy nam się z dzieciństwem, stąd te wszystkie grupy na Facebooku i nostalgiczne wpisy na forach w stylu „Czy wy też nagrywaliście piosenki z radia na kasety?” (co za pytanie, oczywiście, że tak!) albo „Jaka była wasza pierwsza kaseeta? Bo moja Smerfne Hity”. Z uporem maniaka kolekcjonuję też przykłady współczesnego wzornictwa inspirowanego staroświeckim kształtem kasety magnetofonowej. Znalazłam już w sklepach internetowych koszulki, torby, biżuterię z wzorem kasety, ale też podkładki pod kubek, podajniki na taśmę klejącą, a nawet wycieraczki.■

1 Hasło: Walkman

...Aktualnie najbardziej powszechnymi odtwarzaczami przenośnymi są odtwarzacze mp3. Mimo to tradycyjny walkman przeżywa swój renesans i wiele osób sięga ponownie po to urządzenie, by słuchać muzyki z kaset magnetofonowych.

ANNA RADZISZEWSKA

NIEBEZPIECZNY POWRÓT DO DZIECIŃSTWA

Niedojrzali. Niemal wszyscy wokół nas są niedojrzali. Współczesny człowiek swoim zachowaniem stara się udowodnić, że nie jest osobą dojrzałą, sam się na niedojrzałego kreuje. Pokolenie, które cenimy za tzw. „mądrość życiową”, aktualnie wymiera, a prawdziwych dorosłych nie widać. Zamiast nich mamy „kuriozalnych pełnoletnich, którzy nigdy nie dojrżeli”¹. Ale upływającego czasu nie są w stanie oszukać.

Gdyby tak zatrzymać się na ulicy – jak uczynił to Francesco M. Cataluccio, autor książki *Niedojrzałość. Choroba naszych czasów* – to rzeczywiście możemy stwierdzić, że brakuje nam dorosłych. Skąd więc wśród dzieci chęć wprowadzenia do zabaw sytuacji, które zauważyły u swoich rodziców? Skąd w nich przyspieszona pogoń, by stać się kimś starszym? Albo kreowanie się przez zmianę wyglądu na osobę co najmniej pełnoletnią? Czy dorosłość wydaje się tym maluchom czymś aż tak istotnym, by z jej powodu warto było przyspieszyć proces dorastania?

Dzieci o smutnych twarzach

Są też i takie dzieci, które stały się dojrzałe nie dlatego, że chciały, ale musiały. Trudna sytuacja sprawia, że przejmują obowiązki zbyt poważne jak na swój wiek, a zabawy nie są już dla nich zajęciem, któremu mogą się w pełni oddać, jak ich rówieśnicy. Dzieci te wyróżniają się rozważą, snują poważne plany, zapomniaty jak to jest się uśmiechać. Marzą o zabawie, ale już za samą myśl o niej ganią się same i wprawiają w niepotrzebne wyrzuty sumienia. Bywa i tak, że od najwcześniejszych lat to rodzice planują im, jak mają spędzać wolny czas – wszystko prezentuje się pięknie do momentu, gdy robią to z myślą o dobru pociech, nie zaś o spełnieniu swoich ambicji z lat młodości. Często ich wyobrażenia narzucają dzie-



ciom angażowanie się w dodatkowe zajęcia, by nie sprawiać dorosłym przykrości i udowodnić, ile są w stanie osiągnąć. Innym ra-

zem w tych młodych sercach rodzi się pragnienie ucieczki od rzeczywistości, która czeka w domu. To puste miejsce chcą one wypełnić natłokiem obowiązków. W taki sposób upływa ich dzieciństwo, a gdy już stają na progu własnej dorosłości, którą w końcu mogą kierować sami bez żadnego przymusu, pragną powrotu do tego, co zostało im zabrane. Uciekają często do prostych rozrywek, które przynoszą im przyjemność i nie wymagają odpowiedzialności. Na usta ciśnie się pytanie: czy współczesny człowiek sam kreuje się na niedojrzałą osobę?

Osoba dojrzała

Na początku należałoby kilka spraw wyjaśnić, bo chyba każdy inaczej rozumie pojęcie osoby dojrzałej. Samo przekroczenie progu dorosłości w dniu osiemnastych urodzin nie wystarczy, żeby określać się w ten sposób, zresztą byłoby to śmieszne. Ma na to wpływ wiele czynników, które kształtują naszą osobowość, między innymi: inteligencja, rozsądek, umiejętność mówienia o własnych pragnieniach, potrzebach, uczuciach, opanowanie własnych emocji, a przede wszystkim – uświadomienie sobie swojej niewiedzy (tak, raczej należałoby powtórzyć za Sokratesem: „Wiem, że nic nie wiem”), co prowadzi do podjęcia walki o rozwój osobisty. Moje wyobrażenie osoby dojrzałej nie jest jeszcze pełne, sama odnoszę wrażenie, że istnieją wartości, które staną się dla mnie ważne dopiero na pewnym etapie, na razie najistotniejsze są te wymienione. I nie da się w sobie wyćwiczyć tych umiejętności *ad hoc*. Proces jest złożony, a młodemu człowiekowi należy się nawet pewna nieodpowiedzialność, w końcu to stosowne do jego wieku. Dopiero wraz z upływem czasu powinien nabierać życiowej mądrości, a co za tym idzie – dorosłości. Ważne, by nie hamować rozwoju osobistego. Od tego, jakimi

1 F. M. Cataluccio, *Niedojrzałość. Choroba naszych czasów*, tłum. St. Kasprzysiak, Kraków 2006, s. 7. Wszystkie zawarte w niniejszym tekście refleksje wypływają z lektury tej książki.

wartościami się kierujemy i jakimi ludźmi chcemy być, w dużym stopniu zależy podejście do tej kwestii.

Wieczny chłopiec

Problem jest natury czysto psychologicznej. Można zatem odwołać się do Freuda i na drodze psychoanalizy szukać skrzywdzeń na jakimś etapie dzieciństwa, ale wtedy, dopatrując się przyczyny, zaczynamy trochę taką osobę usprawiedliwiać. Sięgnijmy zatem do Junga, który traktuje tę sprawę w podobny sposób, a mianowicie pochwała zdziecinienie, ale na tym nie kończy – wprowadza pojęcie „wiecznego chłopca”. Termin odnosi się w szczególności do dorosłych mężczyzn, którzy nie chcą przyjąć cech odpowiednich do swojego wieku. Łaciński zwrot *puer aeternus* wszedł do języka jako określenie infantylnej postawy aspołecznego narcyza, który uważa siebie za jednostkę wyjątkową. Ucieka on przed dojrzałością, tkwiąc w swoim małym, wykreowanym światku przyzwyczajęń, nie planując zmieniać się dla drugiej osoby. Do tego stopnia boi się upływającego czasu, przypominającego mu o dorosłości, że szuka bocznych ścieżek, które w razie podejmowania odpowiedzialnych decyzji pozwolą mu ewakuować się z poważnych sfer życia.

Unisex

Mężczyźni już w tym miejscu mogą poczuć się urażeni. Czy to oznacza, że tylko oni są niedojrzali i tylko im można wytknąć infantylizm? Opierając się na książce *Niedojrzałość...*, można byłoby udowodnić, że dziewczynki nie sprawiają problemów wychowawczych, zresztą rozwijają się szybciej od chłopców. W ich głowach nie będzie się też pojawiała myśl typowa u kolegów – rywalizacja z ojcem o względy mamy. Dzisiaj jednak nie powinno się rozdzielać tego problemu na naturę żeńską i męską. Społeczeństwo rozwija się tak szybko, że (brzmi to śmiesznie, jest jednak prawdziwe) często na

pierwszy rzut oka nie widać różnicy płci. Podobnie dzieje się w psychice – wiele dziewcząt nie dąży do tego, by traktowano je jako istoty kruche, delikatne i wymagające opieki, ale mocne i bez silnej ręki faceta.

Szukanie źródła

W 1904 roku w Londynie wystawiona jest sztuka *Piotruś Pan*, która odnosi ogromny sukces i wprowadza nowe spojrzenie na dojrzewanie. Dlatego też rozpoczynające się stulecie zostało nazwane wiekiem

Piotrusia Pana, który reprezentuje archetyp infantylizmu. Ta nazwa zaczęła również funkcjonować jako określenie całego zjawiska, w skrócie SPP, czyli Syndrom Piotrusia Pana. Zanim przejdziemy do bajki, kilka słów o autorze.

James Matthew Barrie (1860-1937) należał do tej grupy dzieci, które zostały przymuszone do szybszego wejścia w dorosłość. Gdy miał siedem lat, jego starszy brat David utopił się, jeżdżąc na łyżwach po zamrożonym jeziorze. Po stracie Davida matka przelała całą swą miłość na



Statuetka Piotrusia Pana w Londynie

Jamesa – zaczęła nadmiernie dbać o jego naukę, pragnąc, by stał się chłopcem dojrzałym. Przez to wszedł w fazę dorastania zbyt szybko, zanim zdążył nacieszyć się swoim dzieciństwem, lękając się bardzo odpowiedzialności, jaka go na tym etapie czekała.

Podczas jednego ze spacerów trzydziestosiedmioletni James (cierpiący na migrenowy ból głowy, uzależniony od nikotyny, podatny na choroby) spotkał młodą mężatkę Sylwię Llewelyn Davies z trzema synami: George'em, Jackiem i Peterem. Pisarz zaczął poświęcać dzieciom wiele czasu, bawiąc się z nimi. Kreatywne zabawy z chłopcami (później przychodzą na świat jeszcze Michael i Nico) są impulsem do konstruowania sztuki teatralnej przekształconej później w powieść *Piotruś Pan i Wendy*. Szybki sukces tego dzieła sprawia, że zaczynają interesować się nim producenci i popędzają prace

związane z wystawieniem sztuki teatralnej. Premiera ma miejsce w Londynie w 1904 roku, a w rok później przedstawienie trafia do Nowego Jorku.

Warto jeszcze powiedzieć o losach chłopców, którzy zainspirowali historię *Piotrusia Pana*. George w wieku dwudziestu dwóch lat poległ na froncie francuskim, Michael, który twierdził, że jest homoseksualistą, mając dwadzieścia jeden lat wraz ze swoim przyjacielem prawdopodobnie popełnił samobójstwo, Peter, który został wydawcą, by wraz z Barriem publikować jego książki, w kilka miesięcy po śmierci brata Jacka rzucił się pod pociąg metra. Obawiam się, że przyczyną tak tragicznych śmierci jest niemożność poradzenia sobie z rzeczywistością.

Problem Piotrusia Pana

Zarówno dziecku, jak i osobie dorosłej, bajka ta kojarzy się raczej z barwnymi przygodami i radosnym wspomnieniem dzieciństwa. Jednak Cataluccio próbuje dowiedzieć, że bohater posiada cechy zinfantylizowanego człowieka, „wiecznego chłopca”. Nazwisko Piotrusia wywodzi się z mitologii, którą Barrie bardzo się interesował. Pan był synem bożka Hermesa, bóstwem pastoralnym związanym silnie z Dionizosem. Od pasa w górę miał postać człowieka, od pasa w dół – kozła. Uparty, złośliwy, z cechami, które można nazwać diabolicznymi – taki jest nie tylko mitologiczny bohater, ale i Piotruś.

O jego infantyлизmie świadczy chociażby chorobliwa obawa przed wejściem w dorosłość. Piotruś boi się także okazywania uczuć, wzdryga się, gdy ktoś stara się go dotknąć. Zwierza się swojej przyjaciółce

Wendy, że uciekł z domu, bo usłyszał, jak rodzice planowali mu dorosłe życie. Nie oszczędza swoich kolegów z Nibylandii, których wyrzuca ze szczęśliwej krainy, gdy zaczynają dorastać. Zakazuje im również wspomniania o swoich matkach (rozmawiają o tym jedynie w obecności Wendy, traktując ją jako swoją powierniczkę i matkę zarazem). Ta ostatnia sytuacja pokazuje, że Piotruś Pan nie potrafi skonfrontować się ze skrajnymi uczuciami, jakimi darzy swoją rodzicielkę, co uniemożliwia mu nawet wejście w rolę ojca podczas jednej z zabaw. Nie jest w stanie wytłumaczyć tego sobie samemu, stąd ten niezrozumiały zakaz, który narzuca chłopcom. Co ciekawe, panią Darling darzy prawdziwym szacunkiem, ceniąc jej zdanie i troskę, jaką opiekowała się własnymi dziećmi. Zastanawiające jest także to, że Piotruś nie odróżnia świata realnego od fantazji. Nibylandia stała się dla niego rzeczywistością, w której żyje, nie potrafi tak jak Wendy wrócić i ułożyć sobie dorosłego życia. Jego psychika podpowiada mu, że ciągle jest małym chłopcem.

Degradacja

Dan Kiley, psycholog, mówi o Syndromie Piotrusia Pana jako o współczesnej chorobie wielu mężczyzn. Zostało już jednak nadmienione, że możemy traktować to jako chorobę współczesnej ludzkości, tak bardzo dziś promującej brak widomych różnic w płci. Przejawami SPP są: nieodpowiedzialność, lęk przed odrzuceniem, samotność, narcyzm. W tym uporczywym dążeniu do pozostania dzieckiem jest coś strasznego – wygląda to tak, jakbyśmy za nic mieli wartości, które dostrzegliśmy w naszych rodzicach, nie chcemy ich

uznać za wzorce godne naśladowania. Podkreśla to jeszcze bardziej zagubienie w świecie. Świat dorosłych zaczyna prezentować się nam jako piekło, w którym zostaliśmy zdani jedynie na samych siebie. Nic więc dziwnego, że od takiego obrazu staramy się jak najdalej uciec. Postawa Piotrusia wyraża tęsknotę za dzieciństwem. Bohater Jamesa Barriego stara się robić wszystko, by nie odczuć upływającego czasu, by pozostać na etapie dziecka bawiącego się życiem. ■



WOJCIECH BRYDA

CIĘŻAR PRZESZŁOŚCI

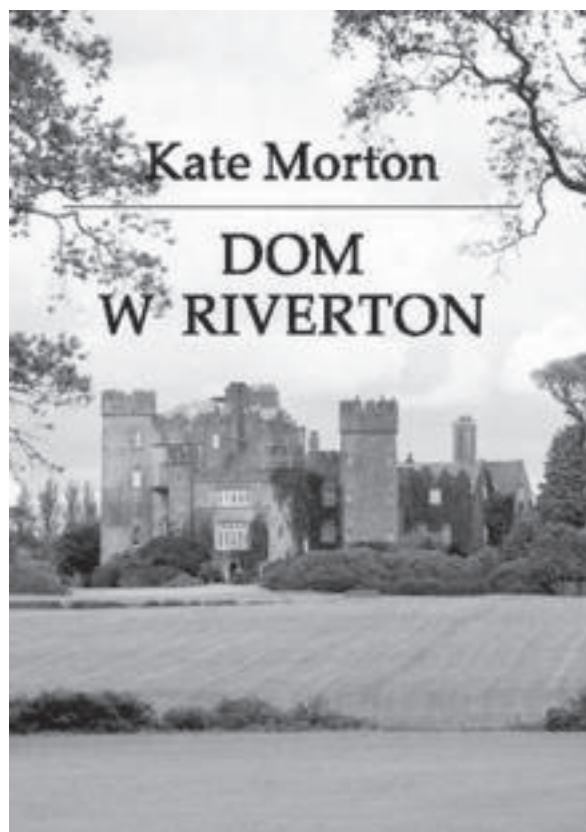
Zdawaloby się, że czas leczy rany i pomaga w zapomnieniu. Jednak są takie wspomnienia, których nie sposób się pozbyć, choć bardzo się tego pragnie. Stają się one największą tajemnicą życia, wyjawianą często dopiero na łożu śmierci.

Taką właśnie tajemnicę odkrywa przed czytelnikami Grace Bradley, główna bohaterka i jednocześnie narratorka powieści Kate Morton *Dom w Riverton* (oryg. *The Shifting Fog*).

Historia, którą przedstawia autorka, prowadzona jest dwutorowo: w czasach młodości Grace oraz w teraźniejszości, gdy ma ona 98 lat. Tym samym mamy do czynienia z dwiema tajemnicami. Rozwiązanie tej z przeszłości jest znane tylko bohaterce, gdyż miało ono już miejsce. Ze strony na stronę, z każdym kolejnym przywoływanym wspomnieniem zbliżamy się do poznania prawdy. Część historii dziejącej się w teraźniejszości czytelnik stara się rozwikłać wraz z opowiadającą. Nie wie nic więcej i nic mniej niż ona. I, tak jak ona, może jedynie czekać.

Opowieść z przeszłości rozpoczyna się w momencie, gdy nastoletnia Grace podejmuje pracę jako pokojówka w rodzinie Hartfordów w Riverton. Zostawia swoją matkę i przeprowadza się do posiadłości, która na pięć lat staje się jej domem. To właśnie tutaj młodziutka Grace musi zmierzyć się z nowymi obowiązkami, a także przeszłością pełną tajemnic. Okazuje się bowiem, że Riverton zajmuje ważne miejsce w jej przeszłości nie tylko jako niegdysiejsze miejsce pracy matki. W grubych murach wydarzyło się coś, co zmieniło charakter matki i uniemożliwiło jej dalszą pracę w rezydencji.

Mieszkając w Riverton, Grace zaprzyjaźnia się z Hanną Hartford, staje się powierniczką jej tajemnic, zakochuje się w swoim współpracowniku i sama wkracza w świat tajemnic, z których najważniejszą jest ta dotycząca samobójczej śmierci poety, przyjaciela rodziny, Roberta Huntera. Dopiero u schyłku życia, wiele lat po śmierci najbliższych członków rodziny Hartfordów, Grace decyduje się wyjawić ten sekret swojemu wnukowi Marcusowi, którego historia jest drugim planem akcji. Słabnąca z dnia na dzień Grace oczekuje Marcusa, po którym pewnego dnia zaginął ślad. Dłużący się czas



Kate Morton, *Dom w Riverton* (oryg. *The Shifting Fog*), tłum. Anna Gralak, Warszawa 2007

staruszka wypełnia nagrywaniem swoich opowieści na taśmę magnetofonową, mając świadomość, że ostateczna prawda zostanie poznana przez ogół dopiero po jej śmierci. Grace traktuje Marcusa jak przyjaciela i pragnie, by zrozumiał on wszelkie jej zachowania, by poznał jej przeszłość tak, jak ona ją zna.

Dom w Riverton to idealne czytadło na weekend, sprzyjające odstresowaniu się, zapomnieniu o czekających nas kolokwiach i innych kłopotach. Żywy język przenosi nas do przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, a fakty historyczne przywoływane przez autorkę pozwalają uwierzyć, że historia, którą przedstawia nam Morton, wydarzyła się naprawdę. ■

BARTŁOMIEJ SZYMKOWIAK

BRAK SŁÓW

O *Me Myself and I* wielu usłyszało w TVN-owskim „Mam talent”. Nie ukrywam, że ja również. I mimo, że nie nastawiałem się na to, że można znaleźć tam takie perły, to jednak ci wokaliści wywarli na mnie ogromne wrażenie.

Zespół powstał z inspiracji wokalistki, Magdaleny Pasierskiej, w kwietniu 2006 roku. Obecnie w skład zespołu wchodzi, oprócz Pasierskiej: wokalista Michał Majeran oraz beatbokser Saulik. Współpracują on także z innymi cenionymi beatbokserami, wśród których są m.in. Zgas, Endru, L.O.S. Występowali z wieloma sławami światowej sceny jazzowej. Mają na swoim koncie koncert przed wystąpieniem Dalajlamy podczas jego pobytu we Wrocławiu. Warto również zaznaczyć, że *Me Myself and I* bierze udział w przedsięwzięciach charytatywnych Fundacji Iskierka działającej na rzecz dzieci z chorobą nowotworową z trzech śląskich ośrodków: Kliniki

Pediatrici, Hematologii i Onkologii Dziecięcej w Zabrze, Górnośląskiego Centrum Zdrowia Dziecka w Katowicach oraz Centrum Pediatrici i Onkologii im. dr E. Hankego w Chorzowie.

Co w ich muzyce jest zachwycającego? Brak słów. Mimo, że wszyscy wykonawcy posługują się wyłącznie aparatem mowy, w ich utworach nie pada ani jedno słowo. Inspiracja muzyką afrykańską i human beatboxem sprawia, że na pozór zwykła wokaliza staje się wyrazem niezwykłego opanowania i znajomości własnego głosu. Traktowanie głosu jako instrumentu, zabawa nim, szukanie nowych brzmień, nowych środków artykulacji dźwięku czyni z muzyki *Me Myself and I* coś na wskroś nowoczesnego, świeżego, ekspresywnego.

Me Myself and I uwalnia piosenkę z ram słów. Słów,

które mimo wszystko zawsze narzucają interpretację, bo bazują na konkretnych znaczeniach. Piosenka jest zbudowana, nie ma w niej nic do odkrywania. Utwory *Me Myself and I* są zupełnie inne. Jest tylko głos, który w takich utworach jak *Takadum*, *Skibaraba* czy *Sou-au* buduje cały nastrój. Na koncertach dodatkowo nastrój buduje mowa ciała wykonawców, która też nie jest zwyczajna.

Można mieć wrażenie, że ich ciałami rządzą nie oni sami, lecz ich głosy. Głosy, które wypełniają wszystko, które stwarzają nową przestrzeń.

Słuchacz odgrywa w muzyce *Me Myself and I* ogromną rolę.

To naprawdę nie wokaliści, a właśnie słuchający buduje utwór, historię, którą ma on wyrażać. Raz może to być historia romantycznej miłości, innym razem beztróskiego dzieciństwa czy też zjednoczenia z naturą. Utwory te mogą być hymnem szczęścia albo motywatorem powtarzającym za Bobby’em McFerrinem „Don’t worry, be happy”. Świat jest przecież taki piękny. Dlatego nie ma jednego *OZ* czy *Monkey Song* – są ich miliony. Za każdym razem, gdy zaczyna się słuchać któregoś utworu – tworzy się go na nowo. Głos wokalistów daje tylko „fundament”, na którym już każdy z nas ma zbudować swój własny świat.

Mimo wszystkich nawiązań do muzyki afrykańskiej, nagrań Bobby’ego McFerrina czy Björk, muzyka *Me Myself and I* nie jest podobna do niczego. Uwierzcie mi. ■



MAŁGORZATA MARIA KULIK

PRZESZŁOŚĆ STAJE SIĘ TERAŻNIEJSZOŚCIĄ

W XXI wieku dowód na to, czy jakieś zjawisko, rzecz, osoba etc. występują w realnym świecie, jest bardzo prosty: „Jeśli czegoś nie ma w internecie, to nie istnieje”. Kierując się tym twierdzeniem, czas zdecydowanie jest kategorią potwierdzoną. Polski Google w 0,15s znajduje 48 100 000 wyników z tym hasłem, zaś angielski w 0,18s – 3 590 000 000. I nieważne jest to, że naukowcy nadal wiodą spór o naturę i istnienie czasu. Sieć nie ma co do tego wątpliwości. Pojęcie to zawiera w sobie nieprawdopodobnie dużo znaczeń oraz odniesień, dając tym samym dużą możliwość interpretacji, a nawet indywidualnego doświadczania. Właśnie tym ostatnim chciałabym się podzielić. Wszak tytuł rubryki zobowiązuje do wspomnień, a może nawet do podzielenia się jakąś mądrością życiową.

Zdawało mi się, że „czas MISH-u” w moim życiu skończył się bezpowrotnie. Sześć lat – tyle trzeba było, żeby zrealizować dwa minima programowe, napisać prace i dostać upragnione dyplomy. W przeszłości zamknięte są październikowe problemy z ułożeniem planu tak, aby pogodzić kwestie „absolutnie” się wykluczające: obowiązkowe zajęcia, interesujące zajęcia, zajęcia, na które pójdziemy razem z przyjaciółmi, zajęcia z dobrymi prowadzącymi i... wolne piątki. Przez moje studenckie lata, czyli w sumie dwanaście razy, się udawało. Potem, jak już upragniony plan był ułożony, czas przyspieszał. Zawsze było go za mało. Zajęcia, koło naukowe, projekty, konferencje, przyjaciele... Godziny spędzone w „zagrodzie” [popularna nazwa dawnej siedziby KNS MISH – przyp. red.] i na bardzo wygodnym parapecie stały się początkiem prawdziwych i trwających do dziś przyjaźni. Na dziedzińcu KUL-u pod magnoliami uczyło się do kolejnych egzaminów, a raczej usiłowało to robić. Tempo zwiększało się w dziwny sposób w okolicach sesji egzaminacyjnej, a w grudniu i marcu zawsze zmniejszało się.

Z perspektywy czasu twierdzę jednak, że lata te minęły bardzo szybko. Dopiero się próbowało

zorientować „co i jak”. Nie było żadnego starszego kolegi, który udzieliłby porady, bo w 2001 roku byłam pierwszym rocznikiem MISH na KUL-u. Można rzec: pionierskie czasy, czyli tłumaczenie wykładowcom, czym jest ten kierunek studiów, organizowanie koła naukowego, nawiązywanie relacji ze studentami innych kierunków, szukanie najciekawszych zajęć, które potem weszły już do kanonu i nadal są często wybierane przez kolejne osoby. A potem znowu szukanie, tym razem tematów prac magisterskich, badania, zastanawianie się, jak wszystkie informacje połączyć w spójną i najlepiej jeszcze sensowną całość. Ponownie kwitły magnolie, ale tego się jakoś nie zauważało, bo zbliżały się obrony i pojawiało się pytanie

„co dalej?”. Pozornie po 6 latach studiów, po odebraniu dyplomów powinnam zamknąć rozdział MISH w swoim życiu. Powinnam zająć się tzw. karierą zawodową i wchodzeniem w nowe role społeczne. Czy się tak da?

Nowe role społeczne trenuję od 3 lat... Mimo że pracuję w różnych miejscach, to nadal spoglądam na

magnolii i kulowskie korytarze, ale już z innego punktu widzenia. Nadal rozwiązuję problemy z planem, ale tym razem jako prowadząca zajęcia. Nadal staram się pogodzić to, czego teoretycznie pogodzić się nie da. Nadal toczę dyskusję z tymi samymi ludźmi, którzy zaczęli się pojawiać w moim życiu od 2001 roku. Teraz nasze grono wzbogaciło się w drugie połowy, innych znajomych. Kulowskie okno i dziedziniec zamieniliśmy na coraz to inne puby i restauracje.

Czas chyba zatoczył koło. Przeszłość płynnie przechodzi w terażniejszość, po to by za chwilę stać się przyszłością. Przeczy to, uznawanej za pewnik przez niektórych naukowców, linearności czasu, ale... ludzkie doświadczenie nie zawsze, a nawet często, nie jest zbieżne z naukowym. Dla mnie „czas MISH” nadal trwa, zmieniła się jedynie perspektywa jego odbioru. Po prostu czas przyspieszył. Ale to doświadczenie typowe – z wiekiem biegnie on coraz szybciej i zawsze w okolicach listopada dziwię się, że to już, że to kolejny rok za mną... ■



fot. Massimo Baurati

KSZTAŁTOWANIE DUCHA

Jest naszym inicjatorem działań społecznych: a to Szlachetna Paczka, a to Akademia Przyszłości. Joanna Głaz zgodziła się opowiedzieć o tej drugiej akcji, która, choć wymaga poświęcenia czasu, pozwala wpłynąć pozytywnie na przyszłość przynajmniej niektórych dzieci.

Wojciech Bryda: Asiu, czy mogłabyś nam przybliżyć, czym jest Akademia Przyszłości?

Joanna Głaz: Jest to inicjatywa Stowarzyszenia Wiosna z siedzibą w Krakowie. Organizacja ta jest też inicjatorem Szlachetnej Paczki. Akademia Przyszłości pomaga dzieciom ze szkół podstawowych odnosić sukcesy – nie tylko w nauce, ale też w życiu. Myśli się tutaj o przyszłości dzieci.

Na czym polega ta inicjatywa?

Akcja jest bardzo dobrze zorganizowana: każdy student, który podejmie się współpracy z Akademią, zostaje opiekunem tylko jednego ucznia, jego tutorem. Musi spotykać się z dzieckiem regularnie – zazwyczaj raz w tygodniu po 2 godziny lub 2 razy po godzinie. Podczas tych spotkań może pomagać w pracach domowych, nauce, ale głównym celem jest podnoszenie wiary w siebie w dzieciach, wzmacnianie ich. Z takich spotkań pisze się sprawozdanie (tzw. kartę pracy), która uwzględniana jest podczas podsumowania na koniec semestru.

W jaki sposób dowiedziałas się o tej akcji?

Zobaczyłam na KUL-u plakat, na którym przeczytałam informację o terminie pierwszego, rekrutacyjnego spotkania. Została tam przedstawiona idea programu. Wypełniliśmy ankiety, w których musieliśmy napisać, czego oczekujemy od programu, w czym moglibyśmy pomóc podopiecznym. Potem każdy odbywał z liderem regionu rozmowę, podczas której należało sobie poradzić z przykładowymi problemami. Na podstawie tych wszystkich danych wybierano studentów.

A jak wyglądały kolejne kroki?

Na następnym spotkaniu dowiedzieliśmy się, jakie dziecko dostaniemy. Potem było szkolenie organizowane przez Stowarzyszenie Wiosna. Jedno – dłuższe – dotyczy pracy z dzieckiem; pozostałe odbywają się w ciągu

semestru i odnoszą się na przykład do organizacji czasu lub metod nauczania poszczególnych przedmiotów.

To kiedy następuje spotkanie z dzieckiem?

Nie spotykamy się od razu twarzą w twarz z dzieckiem. Najpierw ma miejsce uroczyste rozpoczęcie roku akademickiego w szkole. Bawimy się wtedy w odgadywanie, które dziecko jest pod opieką jakiego studenta. Dopiero potem odbywa się spotkanie z rodzicami i dzieckiem – pierwsza rozmowa oraz umówienie się na spotkanie sam na sam, ponieważ rodzice jedynie odbierają dzieci po spotkaniach.

Zanim przejdziemy do Twojego udziału w akcji, powiedz mi, w jaki sposób wybierane są dzieci do programu?

Dzieci albo wybierane są przez szkolnego pedagoga, albo zgłaszane przez nauczyciela lub rodziców. Potem potencjalni podopieczni przydzielani są przez psychologów.

Czyli nigdy nie wiesz, jakie dziecko dostaniesz pod opiekę?

Wybór dziecka to raczej kwestia przypadku. Pod uwagę brane są predyspozycje studenta, np. osoba studiująca historię może opiekować się dzieckiem z trudnościami w nauce historii.

I nie ma możliwości zmiany podopiecznego?

Na wstępie studenci otrzymują sporządzoną na podstawie badań psychologicznych, o których wspominałam, ankietę dziecka, która pozwala im dowiedzieć się, nad czym powinni popracować z uczniem. Jeśli po przeczytaniu ankiety student stwierdzi, że nie sprostą problemom dziecka, może poprosić o zmianę podopiecznego. Nie przypominam sobie jednak takiej sytuacji.

A Ty nie obawiałaś się, że nie będziesz umiała sobie poradzić?

Bałam się, że trafię na dziecko z problemami osobistymi, z rodziny patologicznej lub że będę miała trudny kontakt z dzieckiem. Na szczęście, miałam świadomość, że zawsze mogę skontaktować się z pedagogiem szkolnym, który z nami współpracował. Raz nawet korzystałam z jego pomocy.

Opowiedz, kim ty się opiekowałaś?

Opiekowałam się Wojtkiem, który chodził do piątej klasy szkoły podstawowej. Był to chłopiec zgłoszony do programu przez swojego tatę. Miał mnóstwo zainteresowań, brał udział w wielu dodatkowych zajęciach (kółka sportowe, kółka zainteresowań). Nie miał większych trudności w szkole. Jedyne z czym miał duży problem to geografia. Raczej nie brakowało mu wiary w siebie. Staralam się umacniać go w nauce, w jego aktywności.

Jak wyglądało twoje pierwsze spotkanie z Wojtkiem?

Spotkania z dziećmi zawsze muszą odbywać się w szkole, po zajęciach.

Czekałam pod salą, aż Wojtek skończy lekcje. Wszłam do sali, był tam tylko jeden chłopiec. Usiedliśmy przy ławce i... zaczęliśmy rozmawiać. Zabawy, które miałam przygotowane dla niego, okazały się nieprzydatne, bo przegadaliśmy 2 godziny jak starzy znajomi.

Często się z nim spotykałaś? I jak wyglądały te spotkania?

Widywaliśmy się raz w tygodniu przez 2 godziny. Zaczynaliśmy od rozmowy o tym, jak mu się wiodło w szkole przez ostatni tydzień. Jeśli miał jakieś kłopoty z pracą domową, to ją odrabialiśmy, a potem realizowałam z nim swój program. Wszystko robiłam intuicyjnie, bazując na doświadczeniach z siostrą, ponieważ nie

mam przygotowania pedagogiczne. Nie starałam się być bardzo poważna. Skupiłam się na nauce geografii, ponieważ sama lubiłam ten przedmiot. Robiłam mu różne quizy, gry, zabawy. Wojtek bardzo interesował się piłką nożną, więc wymyśliłam mu zabawę, która polegała na tym, że musiał zaznaczać, skąd są drużyny, które zna i lubi.

Jak długo trwa opieka nad dzieckiem?

Każdy student podpisuje umowę o wolontariacie na jeden semestr. Większość kontynuuje i przedłuża umowę na kolejny semestr. Istnieje nawet możliwość współpracy w kolejnym roku. Z tym że dzieci mogą uczestniczyć w programie tylko przez dwa semestry. Program należy zrealizować w trakcie tego roku. Na koniec każdej edycji jest uroczystość wręczenia dzieciom dyplomów. Każde dziecko ma swój indeks (na wzór studiów), do którego wpisywane są osiągnięcia. Nie muszą to być wielkie sprawy, ale choćby piątka z przedmiotu, z którym do tej pory sobie nie radziło.

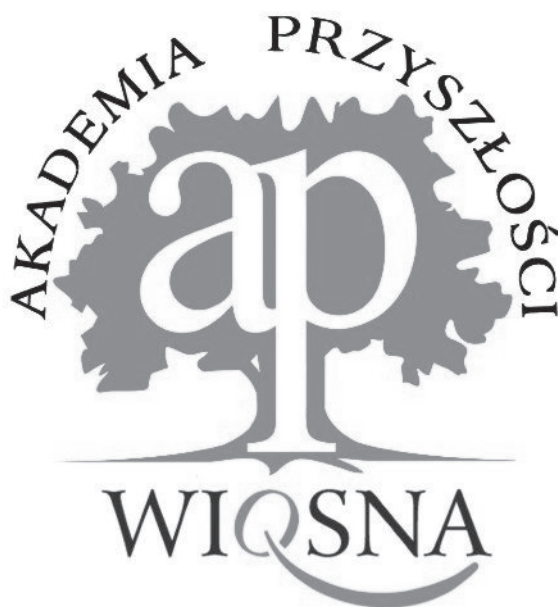
I otrzymują jakieś nagrody?

Program finansowany jest z funduszy europejskich, więc dzieci dostają upominki,

przybory szkolne nie tylko na koniec roku, ale i w trakcie akcji. Ale, co ważne, nie ma tam rywalizacji między dziećmi, wyróżniania kogoś z nich. Każdy sukces jest tak samo ważny.

A Ty jak długo opiekowałaś się Wojtkiem?

Mnie, niestety, nie udało się dopasować planu zajęć do spotkań z Wojtkiem w drugim semestrze. Przygotowanie do spotkań z nim zajmowało mi jednak trochę czasu, co wynika po części z tego, że nie mam specjalistycznej wiedzy i musiałam o wszystkim dowiadywać się sama. Wojtek dostał nowego opiekuna. Wiedział, że tak może być.



Tęsknisz?

Tak, brakuje mi tych spotkań.

Masz z nim jeszcze kontakt?

Przed rozpoczęciem współpracy studenci przechodzą szkolenie. Jest zasada, że studenci nie mogą się zakumplować ze swoimi podopiecznymi. Sugerowano nam, żeby nie wymieniać numerów telefonów z dziećmi, nie pisać z nimi na gg. Żeby nie zaburzać relacji. Dzieci także są uczone, by zwracać się „proszę pani” lub „pani tutor”. W związku z tym kontakt nie przetrwał.

Czego się nauczyłaś dzięki tej akcji?

Wojtek był strasznym gadułą, miał ciekawe refleksje. Takie spotkania to obopólna korzyść. Dzieci odnoszą sukcesy, a studenci uczą się odpowiedzialności, konsekwencji w działaniu. Zauważyłam, jak sobie radzić z pewnymi zachowaniami dzieci. Poza tym dostaje się zaświadczenie o udziale w programie i można to wpisać w CV. Myślę, że dla pracodawcy to znak, że jesteśmy osobami odpowiedzialnymi, cierpliwymi, że jesteśmy empatyczni.

Dziękuję za rozmowę.■

SESJA U BRATANKÓW

Było zimowe popołudnie, kiedy spotkałam się z Zsoltem Nádayem, studentem historii i absolwentem filologii polskiej na Katolickim Uniwersytecie im. Péter'a Pázmány'a w Budapeszcie. Aktualnie Zsolt studiuje historię na KUL-u w ramach programu Erasmus. Opowiedział mi, jak przebiega sesja egzaminacyjna w jego kraju i jak z nią sobie radzą studenci na Węgrzech.

Anna Szymańska.: Słyszałam, że studia na Węgrzech przebiegają trochę inaczej niż u nas w Polsce. Kiedy rozpoczyna się zimowa sesja egzaminacyjna?

Zsolt Náday: To prawda. Na Węgrzech rok akademicki zaczyna się we wrześniu, nie ma stałej daty na jego rozpoczęcie. Dzieje się to w pierwszym, a czasem nawet w trzecim tygodniu miesiąca. W związku z tym sesja zimowa wypada wcześniej niż w Polsce. Zaczyna się ona przed świętami Bożego Narodzenia, potem jest przerwa i na początku stycznia rusza ponownie. Natomiast ostatni tydzień stycznia i pierwsze dni lutego są przeznaczone na poprawki.

Sesja zdaje się być bardzo rozciągnięta w czasie. Czy jest przewidziana jakaś przerwa na odpoczynek między semestrami?

Tak. Między tygodniem na poprawki a rozpoczęciem nowego semestru jest tydzień wolnego, zatem jeśli ktoś zdawał poprawkowe egzaminy, ma jeszcze kilka dni na odpoczynek.

Jesteś absolwentem filologii polskiej. Co sprawiało ci szczególną trudność w nauce naszego języka?

Na początku najtrudniejsze było rozumienie ze słuchu, ale nabrałem wprawy dzięki wielokrotnym pobytom w Polsce.



foto. Joanna Gład

Jaki jest węgierski „przepis” na dobrze zdany egzamin? Jaka jest Twoja metoda?

W czasie sesji podobnie jak w Polsce bardzo popularne są napoje energetyczne, kawa i cola. Jeśli chodzi o mnie mam jedną metodę, która okazała się bardzo efektywna. Nie kładę się spać przed egzaminem, wtedy wiem, że mam więcej czasu na naukę i dzięki temu czuję się bardziej zrelaksowany. Przed wejściem na egzamin wszyscy panikują, a ja jestem rozluźniony. Na Węgrzech na egzaminy trzeba się wcześniej zapisywać, a studenci często nie przychodzą na pierwsze terminy egzaminów. Myślę, że to jest duży błąd.

Jak po węgiersku możemy życzyć powodzenia?

Sok sikert!

Bardzo dziękuję za rozmowę i „sok sikert” przy obronie pracy magisterskiej.■

NAM SIĘ UDAŁO

Podczas drugiego dnia konferencji z okazji dziesięciolecia MISH KUL spotkaliśmy się z jego absolwentami, aby posłuchać ich wspomnień i rad. Swoimi przemyśleniami na temat studiów podzieliły się z nami Katarzyna Kiszko – pierwsza prezeska Koła Naukowego Studentów MISH i Milena Rachid Chehab – działaczka Koła w latach 2001-2003.

Anna Szymańska: Kiedy zaczynałyście studia, Kolegium MISH było jeszcze „w powijakach”. Co zadecydowało o wyborze tego trybu studiów?

Milena Rachid Chehab: Zadecydowała przede wszystkim możliwość łączenia wielu kierunków. Zachęciło mnie też to, że nie pozostanę z tym wszystkim sama, bo będę miała swojego tutora.

Katarzyna Kiszko: W moim przypadku zaczęło się od pisania olimpiady z filozofii. Dzięki temu dowiedziałam się o MISH na UW. Gdy okazało się, że od tego roku ten sam typ studiów będzie dostępny na KUL-u, byłam już zdecydowana na jego wybór.

Jakie wybrałyście minima programowe i jak decyzja ta wpłynęła na Waszą karierę zawodową?

M.R.: Wybrałam polonistykę i socjologię. Obydwa kierunki przydały mi się w życiu bardzo szybko. Po odbyciu praktyk w „Newsweek” zaczęłam pracować tam głównie jako researcherka. W związku z tym, aby móc kontynuować pracę, zdecydowałam się przenieść na MISH do Warszawy.

K.K.: Realizowałam minima programowe z filologii słowiańskiej i filozofii. Aktualnie pracuję w firmie farmaceutycznej. Znajomość języków bardzo mi się przydaje. Wydaje się, że nie pozostałam w swojej branży, ale to nie do końca prawda. MISH daje możliwość szybkiego przekwalifikowania się. W pracy spotkałam osoby, które nierzadko pracują na wysokich stanowiskach po skończeniu filozofii.

Jakie widzicie zalety i wady tego trybu studiów z perspektywy absolwentek?

M.R.: Najcenniejsze jest to, że MISH daje elastyczność, pozwala na więcej

zmian. Dzięki temu, że mishowcy studiują różne kierunki, mają wieloaspektowe spojrzenie na różne sprawy. Jeśli chodzi o wady, to według mnie są nimi ograniczające możliwości uczelniane minima programowe.

K.K.: Główną zaletą jest sama istota MISH-u – możliwość studiowania różnych przedmiotów z puli wielu kierunków. Dużym plusem jest też bezpośredni kontakt z wykładowcą. Istotne są także ogromne możliwości działania w Kole Naukowym i to, że dzięki charakterowi tych studiów można poznać wielu ludzi.

Jakie są wasze rady dla studentów MISH?

M.R.: Nie bierzcie za dużo godzin, ale miejcie na uwadze to, że wszystko może się kiedyś przydać. Działajcie w Kole Naukowym, to naprawdę może być świetną zabawą.

K.K.: Korzystajcie z tego, co daje wam MISH. Bardzo polecam wszelkie wymiany zagraniczne. Zapewniam, że to popłaca. Warto też dbać o dobry kontakt z tutorem.

Dziękuję wam za rozmowę i życzę powodzenia w karierze zawodowej.■

